Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 20 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 16 V 1948 r. ROK III

Lud wielkopolski w swoje święto

Tegoroczne Święto Ludowe będzie szczególnie uroczyste i radosne. Będzie ono żywiołową manifestacją woli jedności ruchu ludowego i zacieśnienia sojuszu chłopsko-robotniczego, sojuszu — który jest podstawą rządów ludowych w Polsce.

W pierwszym dniu Zielonych Świąt chłopi zareprezentują swoją siłę organizacyjną i dorobek swej pracy, a obchód swego Święta Ludowego w Wielkopolsce połączą z wykonaniem jakiegoś konkretnego zadania związanego z odbudową kraju (np. wykończeniem drogi, naprawą mostu, odbudową świetlic itd.). Centralne obchody odbędą się na Ziemiach Zachodnich i na terenach znanych z walk chłopów oraz partyzanckiej działalności Batalionów Chłopskich i AL.: w Warszawie, Bochni, Opolu, Wrocławiu, Zamościu, Białogardzie i Kielcach.

Ludowe Święto polskiej wsi w oprawie świeżej zieleni i w promieniach wiosennego słońca otrzyma godne swemu znaczeniu ramy organizacyjne, wykazując solidarną zwartość zjednoczonych szeregów chłopskich. Lud wielkopolski w obchodach swych nawiąże do rodzimej tradycji i niewątpliwie, jak w poprzednich latach Szamotulanie, Biskupianie, Dąbrowszczanie i inni wystąpią na festynach i zabawach ludowych w pięknych strojach regionalnych, popisując się śpiewem, tańcem i muzyką charakterystyczną dla Ziemi Wielkopolskiej i Lubuskiej.

Fotografie przedstawione poniżej uwidaczniają nam plastycznie radosny charakter dorocznego Święta Ludowego, co najlepiej uzewnętrznia się na uśmiechniętych twarzach i w pełnych temperamentu pozach tanecznych chłopa wielkopolskiego.

Muzykant wiejski z „Kozłem"

Weselne stroje z Dąbrówki Wielkopolskiej

Z sztandarami na Święto Ludowe

Tańcami kończą się uroczystości ludowe

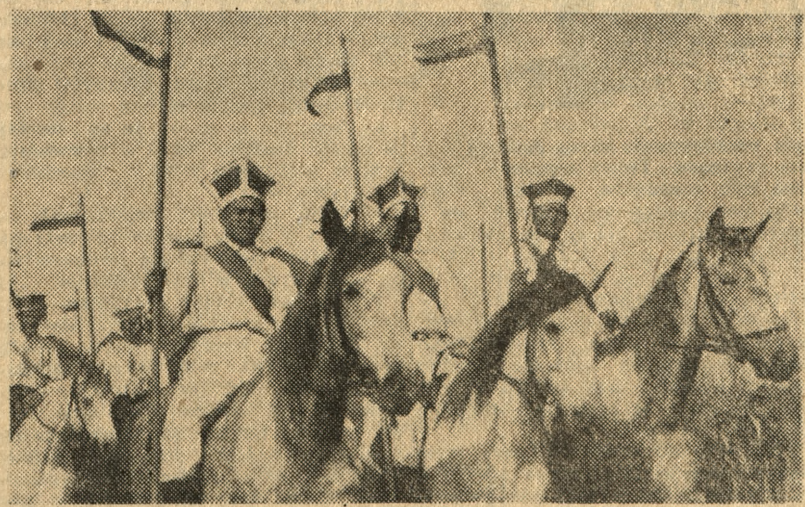
Banderie konne

Zdjęcia (5) „Głos Wielkopolski" E. Kitzmann.

P. MICHAŁOWSKI

ZESŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO
W DAWNEJ SZTUCE

W Zielone Święta, przypadające 50 dni po Wielkanocy, Kościół Katolicki obchodzi uroczystość Zesłania Ducha Świętego. Opowiadają o tym wydarzeniu Dzieje Apostolskie (R. II, 1—4): „A gdy spełniły się dni pięćdziesiątnicy, byli wszyscy wspólnie na tym miejscu (w Wieczerniku). I stał się z nagła z nieba szum, jakoby zrywającego się wiatru gwałtownego i napełnił cały dom, gdzie siedzieli. Ukazały się im rozdzielone języki jakoby ognia, a na każdym z nich z osobna spoczął jeden. I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym i zaczęli mówić rozmaitymi językami, jako im Duch Święty przemawiać dawał." Wyraźnie jest już więc określone posłannictwo apostołów i opisana sama scena Zesłania. W wyobrażeniach plastycznych, opierających się na tym opisie, pojawia się jeszcze postać Matki Boskiej, która jako „łaski pełna" uczestniczy w tajemnicy Zesłania Ducha Świętego oraz gołębica, mająca uzmysławiać samego Ducha Świętego, motyw wzięty z opowiadania ewangelistów o chrzcie Chrystusa w Jordanie. „I zstąpił Nań Duch Święty, widzialny jako gołębica".

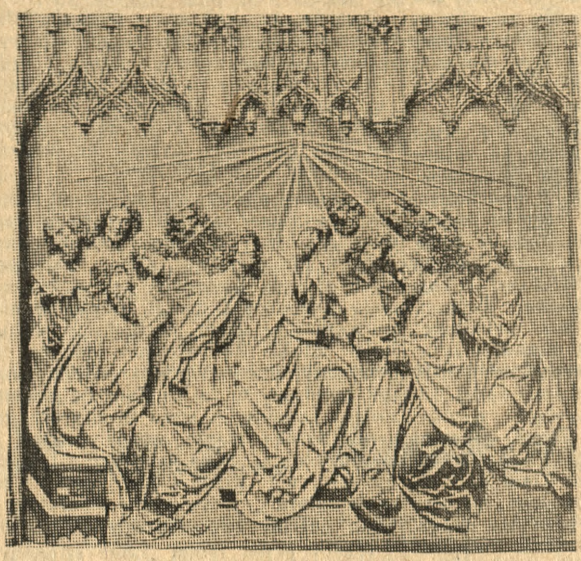
Zesłanie Ducha Świętego
Płaskorzeźba z ołtarza Mariackiego.

Pierwsze wyobrażenia Zesłania Ducha Świętego spotykamy w sztuce syryjskiej VI wieku, skąd temat ten rozprzestrzenia się i w sztuce zachodu. Rozwijają go liczne iluminowane rękopisy, ewangeliarze i biblie. Najstarszym zachowanym wyobrażeniem Zesłania Ducha św. jest miniatura syryjskiego ewangeliarza zakonnika Rabulasa z roku 586 (Florencja — Biblioteka Laurencjańska). Widzimy na niej zgromadzonych dwunastu apostołów, po sześciu z każdej strony postaci Matki Boskiej, umieszczonej w środku kompozycji. Nad głowami wszystkich, otoczonymi nimbami, unoszą się ogniste języki. Duch Święty w postaci gołębicy, z której dziobka tryska wiązka promieni, unosi się w samym środku, nad postacią Matki Boskiej. Ten centralny układ kompozycji jest schematem bizantyńskim i spotykamy go jeszcze w wielu przykładach, między innymi na ołtarzu głównym w kościele św. Marka w Wenecji (XI wiek).

W sztuce zachodniej, kompozycja jest bardziej swobodna i ugrupowanie postaci odbiega od ścisłej symetrii, przestrzeganej w tradycjach sztuki wschodu. Bardzo często występuje temat Zesłania Ducha Świętego w sztuce francuskiej XIII i XIV wieku, w maleńkich dyptykach płaskorzeźbionych w kości słoniowej. Niekiedy kompozycja wzbogaca się i artyści dodają jako asystujących przy scenie Zesłania Ducha Św. uczniów Chrystusa oraz przedstawicieli rozmaitych ludów, z którymi apostołowie porozumiewali się w ich językach i których nawracali. Widzimy to np. na mozaice kopuły kościoła św. Marka w Wenecji, gdzie obok apostołów występuje 32 przedstawicieli różnych narodów.

Do XIV wieku wyobrażenia Zesłania Ducha Świętego występują prawie wyłącznie w sztuce drobnej, w miniaturach, rękopisach, dopiero Giotto rozwiązuje pierwszy ten temat w sposób monumentalny, na jednym ze swoich fresków w kościele Matki Boskiej w Arenie w Padwie (ok. 1305). Dwunastu apostołów spokojnie siedzi w wieczerniku dokoła stołu, podobnie jak podczas Ostatniej Wieczerzy. Artysta opuścił postać Matki Boskiej i gołębicę, za to wyraźnie podkreślił motyw ognistych języków.

Ciekawe, że temat Zesłania Ducha Świętego nie występuje w sztuce nowszych czasów często, mimo że nastręcza dużo możliwości kompozycyjnych. Spotykamy go u mistrzów renesansu włoskiego, jak Fra Angelico, Luca Signorelli, lecz nie jest tak powszechny, jak to się działo w sztuce średniowiecznej. Na północy najbardziej znane wyobrażenia, to dzieła Albrechta Dürera „Małej Pasji" z lat 1509—1511, Jana Memlinga na obrazie „Siedmiu radości N. P. Marii" w Pinakotece monachijskiej z r. ok. 1479, Jana Joest na skrzydle ołtarza głównego w kościele św. Mikołaja w Kalkar z lat 1505—1508 a w Polsce Wita Stwosza, na prawym skrzydle ołtarza mariackiego w Krakowie (1477—1489).

W sztuce baroku scena Zesłania Ducha Świętego jest bardziej ożywiona i poruszona, nabiera ekspresji i patosu. Z pełnymi wyrazu dramatycznymi niekiedy gestami postacie apostołów otaczają Madonnę. Tak przedstawiają scenę Zesłania najsłynniejsi artyści tego czasu, których obrazy stały się z czasem najbardziej znanymi i najpopularniejszymi wyobrażeniami tego tematu: Tycjan w kościele Santa Maria della Salute w Wenecji z lat 1554—1560, El Greco z roku ok. 1580 w muzeum Prado w Madrycie, Rubens z r. 1619 w Pinakotece monachijskiej i uczeń jego Antoni Van Dyck z r. ok. 1620 w muzeum w Berlinie.

Tycjan — zesłanie Ducha Świętego

Obrazy Zesłania Ducha Świętego nie należą do często spotykanych, podobnie jak kościoły pod tym wezwaniem. W Polsce słynne są zielonoświętecznie odpusty przy klasztorach na Bielanach pod Warszawą i Krakowem, które z czasem przyjęły charakter przede wszystkim wiosennych zabaw ludowych.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Kultura, Sztuka i Nadodrze

Zdzisław Hierowski w swym doskonałym przemówieniu wrocławskim (III Zjazd Zw. Zaw. Lit. Polskich) zaznaczył między innymi, że mówienie o pewnych niedociągnięciach polityki kulturalnej na Ziemiach Odzyskanych stało się już truizmem. Bez wątpienia, że spostrzeżenie to było słuszne. Tak samo, jak truizmem byłoby powtarzanie, przekonywujących zresztą, tłumaczeń natury gospodarczej i t. p. tych niedociągnięć.

Fakt pozostaje faktem że niezależnie od wspaniałych sukcesów (Uniwersytety, Politechnika, szkolnictwo) na odcinku działania kulturalnego na Ziemiach Zachodnich jesteśmy opóźnieni w stosunku do efektywów innych dziedzin życia. I że opóźnienie to trzeba nadrobić.

Na tym samym Zjeździe mówiło się wiele o konieczności zbliżenia literatury do Nadodrza. Smutna rzeczywistość, że nieliczne jedynie grono ludzi pióra obrało sobie za stałe miejsce pobytu Wrocław, Szczecin, czy Jelenią Górę lub Opole — nakazywała szukać wyjścia w innym kierunku — przez stworzenie możliwości zezwalających literatom na co najmniej miesięczny pobyt nad Odrą i Nysą. Wykonanie tych postanowień miały obwarować sankcje karne ze strony Związku. Powołana została specjalna komisja, która miała zająć się szczegółowym rozpracowaniem zagadnienia.

Wtedy też pewne zespoły autorskie, czy to skupione przy pismach literackich, czy inne, uznały za słuszne odbywanie co pewien okres kilku osobowych wypadów na Zachód.

Stwierdźmy wyraźnie: O pracach komisji, mającej wprowadzić w życie kontakty pisarzy z nowym dla nich terenem, jak dotąd, nic nie słychać. A czas, zdawało by się, już najwyższy! O wyjazdach zespołów też wiele nie wiadomo. Jeden wypad taki zrobił zespół „Kuźnicy". Poza tym o ile się nie mylę, uczyniła to (znowu łódzka) grupa młodych poetów katolickich. Jeszcze zespół „Odry" inicjował podobne akcje na Opolszczyźnie. Nic natomiast nie było słychać o szerszej akcji w tym kierunku np. „Nowin Literackich", „Odrodzenia", „Tygodnika Warszawskiego", i td. Dlaczego?

Tym bardziej na tym wyjałowieniu Nadodrza od literatów nabiera znaczenia i godna uznania jest w skali ogólno polskiej przez „Czytelnik" organizowana akcja pt. „Autorzy wśród swoich czytelników". Dzięki niej i zapomniane Mazury i Pomorze Zachodnie, Ziemia Lubuska i oba Śląski mogły poznać czołowych przedstawicieli literatury polskiej. Natomiast prócz serdecznego przyjęcia, spontanicznych nieraz owacyj, sami autorzy nie wynieśli prawie żadnych innych wrażeń z Nadodrza, gdyż byli tam za krótko. Nie leżało zresztą przecie w intencji organizatorów, żeby ich kosztem literaci mieli poznawać bliżej i dłużej Ziemie Odzyskane.

Zresztą, aby być szczerym. Często postępowanie literatów nie licowało z zaszczytną funkcją niesienia świateł kultury we wszystkie zakątki Polski, szczególnie na Zachodzie. Znamy wypadki, że kilka zapowiedzianych wieczorów tu i tam (Pomorze Zachodnie, Mazury) nie odbyło się, bo „literaci nie przybyli", dlatego, że w tym czasie zwiedzali jakieś osobliwości danej miejscowości, albo jeszcze lepiej, bo się upili. Warto zaznaczyć, że nic podobnego nie przydarzyło się w żadnym bodaj z większych miast Polski. Bo tylko małe, leżące na „rogatkach kultury" miejscowości można lekceważyć. W wielkich to niebezpiecznie.

Reasumując — od Zjazdu Zw. Zaw. Literatów Polskich, a na nim górnych słów projektów i zapewnień o potrzebie krucjaty kultury na Ziemie Odzyskane — minęło już parę miesięcy. Gdyby nie samodzielna akcja „Czytelnika" i jeszcze tam paru imprez, urządzonych przez lokalnych zapaleńców, nawet i tych skromnych kilku, słów pociechy nie dałoby się napisać.

Ani literatom odnośne czynniki nie przyszły z pomocą w dziele umożliwienia im zapoznania się z Nadodrzem, ani też literaci nie okazali w tym kierunku zbytniej skwapliwości. Wina leży po obu stronach.

Zastanawianie się zresztą nad winą niewiele pomoże. Należało by raczej konkretnie pomyśleć nad możliwościami zaradzenia złemu w nadchodzącym szybkimi krokami sezonie letnim. Bo nie rozwiąże zagadnienia, że znów pokaże się na Ziemiach Odzyskanych Szewczyk i Brandys, Grabski i Koźniewski, Zawieyski i Melcer. Związek Literatów liczy ponad 400 członków. Tych pięciu, czy nawet piętnastu sytuacji nie zmieni, że literatura będzie poza nielicznymi wyjątkami, nadal odległa od ziem macierzystych narodu. Że nagrody literackie Ziemi Nyskiej (pół miliona zł) i innych, doceniających znaczenie kultury, miast Ziem Zachodnich, nie zostaną przydzielone, bo jury konkursu nie otrzyma prac dla oceny. Że Związek Literatów będzie wzywał na puszczy niesłyszenia...

Tworzywo artystyczne, bogate niesłychanie, zróżnicowane w tematyce, czeka na Nadodrzu. I równie gorąco na jego opracowanie czeka społeczeństwo polskie. Ostatecznie, nie można odeń żądać, by zadowalało się tylko artykułami na ten temat i przygodnymi, robionymi z „okien wagonu" reportażami. Nie jedna, nie dwie i nie pięć, ale dziesiątki powieści osnutych na motywach Ziem Zachodnich, musi dotrzeć do konsumenta. (Mówienie o świeżości tematu, o „niewylężeniu się", to, przepraszam, ale bardzo często nic innego, jak zwykłe wykręcanie się od trudnego zadania. Bo o Zachodzie trzeba pisać i źle i dobrze, ale prawdziwie. A to daje się sprawdzić. A o dwudziestoleciu, o okupacji można, jak się komu chce. Kto tam to sprawdzi). Wiele doskonałych tematów współczesnych, wiele historycznych! To samo z dramatem, to samo z literackim reportażem. (Dotąd poza Sulimy — „Ziemią odnalezionych przeznaczeń" — nie mamy innego.)

Tu się znajdzie i zamówienie społeczne i zamówienie artystyczne.

Prawda, w „kokosowe dochody" literatów, poza liczonymi na palcach wyjątkami, nawet naiwni przestali już wierzyć. Ale, przecie jakieś Świnoujście czy Karpacz czy Głuchołazy, nie będą chyba droższe, niż Zakopane czy Sopot. Czy nie warto byłoby się czasem odświerzyć i na Zachodzie?...

Z drugiej strony, nie można od ludzi pióra wymagać za wiele. I tu można mieć do Min. Kultury i Sztuki czy choćby Ministerstwa Ziem Odzyskanych słuszne pretensje, że jednak za mało poświęcają uwagi propagowaniu problematyki Ziem Zachodnich wśród ludzi sztuki. Że za mało jest na to pieniędzy, ułatwień (nie ma choćby zniżek kolejowych) że nie daje się prawie żadnej pomocy. A stara to prawda, że przez Sztukę nieraz można prędzej i skuteczniej z czymś zapoznać i czegoś nauczyć, niż przez ciągle jedne i te same referaty, przez suche statystyki i tylko notatki dziennikarskie.

Warto przed latem „obu stronom" zastanowić się nad sposobem przerwania izolacji kulturalnej Nadodrza od reszty kraju. Żeby znów nie było za późno i żeby następny zjazd Zw. Zaw. Lit. nie potrzebował mówić o „truizmach", powoływać komisji i myśleć o „sankcjach karnych".

Teodor Géricault (1791—1824) „Tratwa Meduzy"

KULTURA, SZTUKA,

Historia malarstwa w anegdotach

Géricault — Delacroix

Tym, czym dla malarstwa klasycystycznego był obraz Davida „Przysięga Horacjuszy", tym dla romantyzmu stało się wystawione w roku 1819 olbrzymie płótno Teodora Géricault (1791 do 1824) „Tratwa Meduzy". Dwa te obrazy zawierały program obu kierunków. Géricault nawiązywał do malarskiej tradycji baroku, którą odrzucał David.

Temat do swego obrazu zaczerpnął Géricault nie z historii antycznej, jak to czynili przeważnie klasycy, lecz z współczesnego wydarzenia: w lecie 1816 roku rozbiła się przy wybrzeżach afrykańskich fregata „Meduza"; niewielu ocalałych ludzi załogi próbowało ratować się na tratwie. Po wielodniowej tułaczce na wzburzonym morzu, niewypowiedzianych cierpieniach fizycznych i po straceniu ostatniej nadziei, ujrzeli na horyzoncie żagiel okrętu który ich potem wyratował. Ten dramatyczny moment niebywałego napięcia między czarnym zwątpieniem a budzącą się nagle nadzieją wybrał do swego obrazu Géricault i przedstawił z niezwykłą potęgą wyrazu malarskiego, opartego na silnym kolorycie i kontrastach światła cienia.

Dwaj zadomowieni u niego rozbitkowie z „Meduzy" dostarczali mu stale wskazówek przy malowaniu. Odwiedzał szpitale, studiując agonię konających, by móc wyrazić ją najwierniej u swych rozbitków na tratwie. Kiedyś spotkał znajomego, który dopiero co przeszedł żółtą febrę i raczej był jeszcze podobny do umarłego niż żywego. Géricault rzucił się na niego z okrzykiem: „Ach, przyjacielu, jak pięknie pan wygląda". Interesujący rekonwalescent musiał mu oczywiście pozować jako model.

Od dzieciństwa był namiętnym jeźdźcem i największą przyjemność i zadowolenie sprawiało mu dosiadanie i opanowywanie dzikich i nieujarzmionych koni, z którymi nikt sobie nie mógł dać rady. Kiedyś odbywając przejażdżkę wzdłuż wybrzeży Sekwany ujrzał, jak woźnica okładał batem konia, który nie mógł uciągnąć wozu. Rozwścieczony tym brutalnym widokiem malarz, rzucił się na chłopa i rzetelnie go obił. „Do licha", rzekł człeczyna, skoro przyszedł do siebie po tęgich razach, „jeśli jesteś pan taki silny, to lepiejbyś zrobił, pomagając mi ruszyć ten przeklęty wóz z miejsca". Co też Géricault, zawstydzony swym nieopanowanym wybuchem gniewu, uczynił.

Namiętność do konnej jazdy stała się przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Upadek z konia przykuł go na ostatnie dwanaście miesięcy życia do łoża. Przyjaciel jego Delacroix odwiedzał go w tym okresie i opisuje straszny widok, jaki przedstawiał wtedy Géricault i jego wielkie cierpienia. Wyglądał jak starzec, niezmiernie wychudzony, ruchu najmniejszego nie mogący zrobić bez obcej pomocy. Kontrast między wspaniałymi obrazami, z których biła nadal niepohamowana siła młodości i tą straszną ruiną człowieka, był przerażający.

Umarł 26 stycznia 1824 roku, mając zaledwie trzydziestotrzy lata. Delacroix malował właśnie niemowlę na swej „Masakrze w Chios", gdy otrzymał wiadomość o śmierci. Pędzel wypadł mu z ręki i długi czas minął nim przyszedł znowu do siebie.

Eugene Delacroix (1797—1863) dokończył tego, co Géricault zaczął. Swoich mistrzów widział w wielkich wenecjanach Tycjanie, Tintoretto, Veronese i w flamandzie Rubensie.

Kiedyś — około 1830 roku — musiał namalować na którymś ze swych obrazów żółtą zasłonę i wpadł w gniew, gdy nie udało mu się odpowiednio jej ożywić i nadać należytego blasku i miękkości. Zamówił powóz, by udać się do Luwru i zobaczyć jak rozwiązują to zagadnienie Veronese Rubens. Siadając do wnętrza, zatrzymał się zaskoczony: ku jego zdumieniu żółte obicie powozu w cieniach i załamaniach było zupełnie fioletowe Odprawił woźnicę i wrócił natychmiast do pracowni, by spożytkować to spostrzeżenie na swoim obrazie.

Potrafił malować z niesłychaną szybkością. Posiadał niezwykle bogatą inwencję malarską i temperament, który pozwalał mu na wykonywanie największych kompozycji w krótkim czasie. Kiedyś Dumas wydawał bal, do którego dekoracyjne panneaux mieli wykonać jego przyjaciele malarze, między nimi również Delacroix. Wszystko było gotowe, tylko przeznaczone dla niego miejsce, jeszcze w dniu balu, świeciło pustką. Artysta przyszedł po południu do Dumasa i zaskoczony był trochę wielką płaszczyzną, którą miał zamalować. Sądził, że uda mu się wykręcić paroma kwiatami i ornamentalnymi motywami, gdy Dumas, przeczuwając to, zaczął mu cytować jakiś patetyczny fragment poematu hiszpańskiego z wojen maurytańskich, umiejętnie rozbudzając wyobraźnię malarską artysty. Natychmiast Delacroix zabrał się do pracy i w niewielu pociągnięciach namalował całą scenę, w cudownym w dodatku kolorycie, w harmonii samych żółtych farb, tak charakterystycznej dla jego młodzieńczych dzieł.

Decydujące dla rozwoju jego techniki malarskiej były krajobrazy angielskiego pejzażysty Johna Constable. Delacroix wystawił już swój obraz „Masakra w Chios" (1827, temat wzięty z walk o niepodległość Grecji) na Salonie, gdy ujrzał równocześnie tam pejzaż Constable'a „Wóz siana". Poprosił natychmiast o pozwolenie zdjęcia swego płótna i w ciągu czterech dni przemalował całą powierzchnię. Z chwilą otwarcia Salonu, dzieło jego przybrało zupełnie inny wyraz — tradycyjny, brunatny galeryjny ton ustąpił miejsca orientalnemu wprost bogactwu jasnych barw, gładka faktura powierzchni, nerwowo wibrującej płaszczyźnie, na której znać było każde pociągnięcie pędzla.

Niezwykle czynny i płodny, zostawił Delacroix wiele dzieł po sobie. Na łożu śmierci widział jeszcze oczyma wyobraźni liczne kompozycje, które chciał przenieść na płótno. „W moim mózgu kipi", szeptał, „gdy będę znowu zdrów, stworzę cudowne rzeczy".

P. M.

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

Utwór nagrodzony na konkursie tygodnika „Pion" w roku 1938

Obiad

Zanim zapukał do drzwi, stał i niezdecydowanie nasłuchiwał. Ciotka widocznie prała, bo rozlegało się tam miarowe chlupanie wody i tłusty szelest mydła. Mały Kazio płakał monotonnie a zawzięcie odróżniał też świst ciężkiego oddechu ciotki, a obok tego trzask i szum ognia w kotlince i jakoweś treściwe parkotanie w garnkach. Zapach kapusty, tłuszczu napełniał cały ciemny i wilgotny korytarz i to zdecydowało, że zastukał w drzwi z udaną śmiałością. Jednakże z wewnątrz nikt nie odpowiadał, więc przestraszony i zawstydzony czekał dalej, ale przypomniał sobie, że ciotka nie odzywa się na pukania z powodu nienawiści do żebraków, tedy przezwyciężywszy się nareszcie, ujął za klamkę i z wesołą, raźną miną wszedł do środka.

— Dzień dobry — powiedział optymistycznie i szedł ku balii, by przywitać się z ciotką. Ale ta nie odwracając się odrzekła obojętnym głosem.

—— Niech Władzio się nie wita, bo mam ręce mokre.

— Nic nie szkodzi — zawołał tonem lekceważenia swojej wielkości, ale zajął się zdjęciem płaszcza i zawieszeniem go na haku, dźwigającym już tak kłąb ubrań. Na krzesełku leżał stos mokrej bielizny, a w kącie przy piecu gromada „brudów", podłoga zachlapana była pianą i bryzgami wody, w pokoju wiły się chmury pary od balii szła ckliwa, gorąca woń.

Ciotka zaciekle suwała po tarce gęstymi szmatami, trzepała wielkimi, przez ług do białości wyżartymi dłońmi, w rozburzonych mydlinach mosiła, klaskała, że balia dygotała cała a siwa,

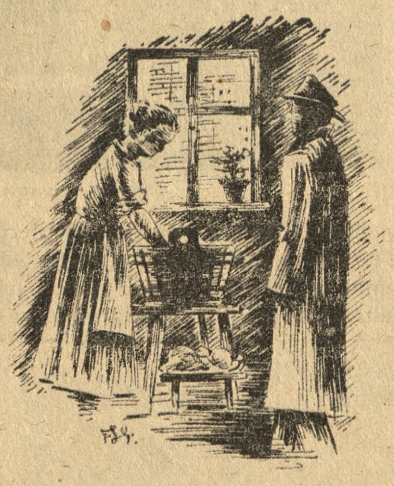

woda wychlupywała się na podłogę długimi bryzgami. Twarz niewiasty czerwona była i spocona, wielkie, białe piersi bez biustonosza kołysały się i trzęsły w szerokiej bluzce bez rękawów.

Chłopak stał przy kuferku tyłem i [illegible] nienawistnie, krzykliwym dyszkantem. Z uśmiechem komicznego zakłopotania wymijał kosze, krzesełka, niezdarnego konia wyrzeźbionego własnoręcznie przez ojca dla małego i usiadł wreszcie przy stoliku obłożonym ceratą i zarzuconym bezładnie szkolnymi książkami.

Teraz dopiero spostrzegł przy rozebranym łóżku wielkie buciory, z których jak z paszczy zmęczonego psa, zwisały, [illegible] języki obok leżały z doskonale zachowanym kształtem stopy, zeskorupiałe skarpety. Olbrzymie poduchy przygniatał wielki i tłusty łeb wuja, o otwartych wargach, odsłaniających parę żółtych i połamanych zębów. Spojrzał z naukowym zastanowieniem w czarną czeluść tego otworu gębowego i odezwał się radośnie zdziwiony.

— O, to jest dzisiaj i wujaszek? —

— Wychowanie ma! — odezwała się ciotka przerywając pranie i łapiąc oddech gwałtownie.

W uszach zadzwonił mu nagle natrętny wrzask małego poczuł się niejako w obowiązku wyręczenia ciotki i uciszenia chłopca, więc wyrozumiałym, ojcowskim tonem jął mu perswadować:

— Cóż to, Kaziu, płaczesz? Jakżesz można, taki duży chłopczyk?

— Cicho bądź, bo tatusia obudzisz. Tatuś śpi, chce odpocząć po pracy. Jest zmęczony. Patrz, konik na ciebie spogląda i śmieje się. Pokaż mi, czy umiesz jeździć na koniu? — ale chłopak nie chciał o niczym słuchać i na przekór płakał coraz serdeczniej. —

— Co mu się stało? — zapytał ciotki, trzęsącej się znowu nad balią.

— Jemu się to stało, że on dzisiaj na pewno dostanie lanie! — zawołała z nagłym wybuchem irytacji, przerywając pranie —

— Cicho mi bądź, smarkaczu! — tupnęła i z oczekiwaniem patrzyła na malca, który przeraził się trochę i tylko pochlipywał miękko żałośnie.

Przybyłemu zrobiło się raptem nieznośnie, chciał wstać wyjść, ale znowu doszła go poprzez duszący zapach gorących szmat, woń kapusty, działając na jego głód, jak balsam na ranę. Ostatnio jadł zeszłego dnia rano, ledwo już się trzymał na nogach, a na dzisiaj nie widział doprawdy żadnej innej możliwości zjedzenia choć cokolwiek, został więc na krzesełku i milczał, nie wiedząc jak się zachować i co mówić.

— A cóż u Władzia słychać, jest już posada? — zapytała ciotka obojętnie i bez wiary w możność usłyszenia od niego czegoś nowego.

— A gdzież tam. Kto by tam dzisiaj znalazł posadę! — zawołał z udaną ironią — komu to jest potrzebne, że ja ukończyłem uniwersytet i uzyskałem ten tytuł magistra filozofii... — mówił to nie dlatego, aby stwierdzić raz jeszcze ogólnie znaną prawdę, ale by usprawiedliwić się głośno, że przyszedł tutaj w porze obiadowej.

Spojrzał na ciotkę — myślała o czymś niewesołym, bo spochmurniała, coś kalkulowała. Przypuszczał, że to o jego obecności na obiedzie. Odejść stąd nie miał sił. Zdeterminowany i uniewrażliwiony jął przeglądać jakiś tygodnik ilustrowany, przyniesiony przez wuja z interesu, z pieczątką cukierni. Gary z bielizną syczały wzdychały przeciągle, to pieniły się i bulgotały z szumem, kapusta zaś parskała radośnie i wesoło skwierczała słonina.

Ciotka o szeroko rozstawionych no-

gach, przegięła się dosadnie i obiema rękami ile sił tarła o blachę szmaty. Puszyste bąble mydła z cichym mlaśnięciem opadały aż na ścianę. Zapomniany na chwilę Kazio uobecnił się znowu obfitym i głośnym płaczem.

Nagle ciotkę ogarnęła furia. Przerwała pranie, alarmującymi ruchami wydostała skądś pasek, chwyciła małego za głowę i jęła go okładać dotkliwymi razami. Chłopak darł się w niebogłosy, skacząc i wiercąc się jak mucha na gorącej blasze, a niewiasta z rozwścieklonymi oczami, krzyczała spazmatycznie.

— Ja ci tu popłaczę łotrze. Będziesz ty mi milczał, dranu. Magister zmieszał się i przestraszył w najwyższym stopniu. Wiedział, że chłopak dostaje lanie głównie dlatego, że on tu przyszedł na obiad, że niewiasta, rozdrażniona pracą, nieproszonymi gośćmi i dziecinną a fatalistyczną dokuczliwością małego, nie mogła wstrzymać się od wyładowania całej swojej, wzbierającej mściwości. Biła go z zastanawiającą zaciekłością, jakby tym aktem chciała zniszczyć wiele dręczących ją spraw. Krzyk chłopca miał już coś panicznego, zapomniał, że dostaje lanie od matki, a bronił się rozpaczliwie jak przed groźnym żywiołem.

Magister uważał, że powinien interweniować, ale tak go to co się działo sparaliżowało, że tylko zmieszany, speszony i sam w strachu o własną skórę, przerzucał nieprzytomnie kartki tygodnika. Jednocześnie poczęła w nim powstawać pogarda do samego siebie, że przyszedł tutaj jak żebrak, nędzarz najgorszy i ostatni niedołęga.

Jednakże tylko poczucie bezradności wreszcie otępienia nerwowego ogarnęło go, gdy po raz setny wysilał się nad wynalezieniem koncepcji, która by go wyprowadziła z nędzy.

Wrzask małego obudził wuja, przewrócił on się gwałtownie na drugi bok, machnął językiem i zaczął mamlać,

Obiad

(Dokończenie opowiadania ze strony 3-ciej)

Zawsze, gdy o niej przedtem myślał, z obrazem jej związana była ufność, ciche marzenie i słodka nadzieja. Nie uświadamiał sobie tego wyraźnie, ale właśnie co do niej uważał się za najbardziej zabezpieczonego od nieprzyjemnych ewentualności. Tymczasem jakoś mimo jego wiedzy i zgody, z brutalną oczywistością, Jadźka stała się w rodzinie głośna z tą swoją romantyczną miłością...

Nie przyznawał się przed samym sobą nigdy do owej skłonności, zepchnął to uczucie w najgłębszą podświadomość, ale nie mniej ono w nim istniało, wydziedziczone i zamierające, jednak na tyle jeszcze żywotne, że dotykały go nieprzyjemnie wszelkie wspomnienia o tym dziwacznym istotnie szaleństwie Jadźki.

— Chodzi i będzie chodziła! — zauważył wuj z najgłębszym przekonaniem, wykonując tradycyjną czynność podczesywania pojedynczych włosów, trzymających się wątle na przodzie i po bokach olbrzymiej, łysej głowy.

Ciotka przysunęła wielki blaszany kubeł, podsadziła się z pasją pod napełnioną balię i zlewała do naczynia czarną, lepką ciecz, z kawałkami zbitej piany na wierzchu.

Mówiła z ironiczną goryczą i bezradnym żalem:

— Wlepiła się w tego grandziarza, że świata poza nim nie widzi. Nie ma dla niej matki, nie ma ojca, który gryzie się, przejmuje, bo wie, że córka jedyna, dla której krwi i potu nie żałuje, kształci ją, mógłby na uniwersytet wysłać, szykuje się z tym chłopem na wieczną nędzę, nic sobie w życiu nie poprawi, umrze w jeszcze gorszej bidzie niż się urodziła. I to żeby była ułomna, koślawa lub garbata, ale można powiedzieć dziewczyna przystojna, trafiłby się jej ktoś daleko lepszy... Mówiłam Władziowi o tym uczniu z ósmej klasy gimnazjum. Chłopak wysoki, postawny, syn inżyniera, mają kilkopokojowe mieszkanie na Marszałkowskiej. Zajął się tak Jadźką, że to stale: „a może panią odprowadzić?... a czy pani będzie na ślizgawce?..." chciał ją nawet zapisać do jakiegoś ich klubu sportowego. Jak odjeżdżała na obóz, to przyszedł z kwiatami na stację, ale ta idiotka patrzeć na niego nie chciała, trzachnęła tylko z daleka głową i wleciała do wagonu. Ani do niej przystąp bez kija. Nawet już matka tego ucznia zapytywała się, a co to za Jadzia, z której klasy? Ale ją to na tyle, co paznokieć obchodzi, woli bezrobotnego i już...

— A cóż on dalej bez pracy? — zapytał magister z lekkim odcieniem osobistej pociechy, kwaśny i nieco zniecierpliwiony.

— Mój Władziu, a czyż on będzie kiedy pracował? Tak, pomocnik tokarza. Czyż on co umie? Żeby to chciał coś skończyć, ale zewsząd go wylewali, wszędzie każdego bił po twarzy, majster nie majster, inżynier nie inżynier, bo on chojrak, bo on bokser. I co ona w nim widzi? Te oczki okrągłe i zezowate? I nazwisko, Kogutko...

Magister roześmiał się ubawiony bezsilną pasją ciotki. Męczyło go teraz to, że ciotka, jak zawsze, zwierza się przed nim tak obficie, bo mimo woli czeka od niego jako od człowieka, nity przecież wykształconego, jakiejś konkretnej rady. Usiłował ustosunkować się do sprawy jak najbardziej obiektywnie i naukowo, ale doprawdy nie umiał znaleźć żadnego rozwiązania dla tego istotnie trudnego zagadnienia. Bo cóż właściwie złego, że dziewczyna, choć kończąca gimnazjum, chce zostać żoną niewykwalifikowanego robotnika. Czeka ją nędza? Nie wiadomo co w końcu będzie, mogą sobie dawać radę wcale dobrze. Z drugiej strony, zupełnie naturalne, że rodzice chcą widzieć ją najbardziej zabezpieczoną. Tak czy inaczej trudno coś poradzić. Stanowczo miał Jadźce tylko do zarzucenia jej bezceremonialny i nieuczciwy stosunek do rodziców. Była kłamliwa, egoistyczna, niewrażliwa, nie widziała ich łez i ich zmartwienia. Najważniejszą dla niej na świecie rzeczą była jej własna głupia miłość. Myśli te tak go sfatygowały, że aż na czole i skroniach ukazały się krople potu. Wyjął chusteczkę i ocierał się, stawało się dla niego wszystko już nużące i ciężko jałowe.

Wuja twarz, który wreszcie założył marynarkę i przeglądał dokładnie jakowyś notesik, robiła się pochmurna i nieprzyjemna, magister miał wrażenie, że zaczyna mu się mocno nie podobać jego niemrawe i wyczekujące zachowanie.

Z miną, która miała wzbudzić w otoczeniu litość, przerzucał niepotrzebnie i niepoważnie kartki tygodnika.

— Więc cóż wujaszek myśli robić z Jadźką? — zapytał należycie zasmuconym tonem, aby wyglądało, że dumał cały czas głęboko nad tą sprawą.

— Póki ja żyję, nic z tego. Żeby konała, żeby się rozdzierała, nie pozwolę...

— Po mojej śmierci, niech się dzieje co chce! — zawołał patetycznie i nadął się chmurnie. Przy tym jednak spokojnie i z troskliwą uwagą przeszukiwał oddzielną skrytkę w kufrze pełną jakichś przedmiotów zawiniętych w stare gazety rosyjskie, książeczek do nabożeństwa, medalików, barwnych łatek. Wydostał drewniane pudełko i zwolna otwierał je z przyjemnością, małym kluczykiem.

— I co za cholera, z tą dziewczyną... — ciągnął dalej monotonnie ten sam temat, pilnie patrząc zmrużonymi oczyma na przedmiocik, wydostany ze szkatułki — że ani słowa, ani kij, nic na nią nie działa. Wybałuszy przed siebie ślepia i milczy jak zaklęta. Ja nie wiem, czy to teraz wszyscy tak wcześnie gonią za tą miłością? Ja bo do samego ożenku nic jeszcze nie wiedziałem. — oznajmił stanowczo i rozczarowany chował z powrotem szkatułkę.

Magister przypomniał sobie, jak to wuj opowiadał kiedyś, gdy w nocy szli obaj ku miastu, że dla niego, jak miał lat osiemnaście, nic nie było na świecie poza tą rzeczą, że „łyżkami" by ją jadł, mógł być głodny, wódki nawet nie pić, ale na dziewczynki musiał pójść, bo by go inaczej chyba „szlag trafił".

Patrzył teraz ciekawie na wuja, który znudzony już domowymi zabawkami, oparł smętnym ruchem ręce o kolana i roztargnionym, wyblakłym spojrzeniem patrzył przed siebie.

Na kuzyna nie zwracał uwagi. Czuł się w jego obecności tak swobodnie jak wobec stołu.

— A cóż porabia Antek? — przez siłę wykrztusił magister zapytanie, bo ta denerwująca cisza zaczynała go przyprawiać o histerię, szykowało się w nim na dziki wybuch. Wuj machnął tylko pogardliwie ręką, zasępił się bardziej, przyciągnął do siebie od niechcenia drewnianego konia i poprawiał na nim rzemyk.

Kazio usiadł sobie cicho opodal

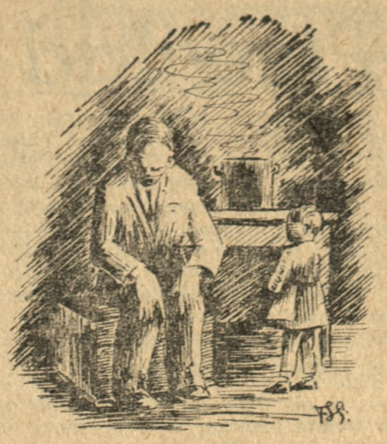

drzwi, rozsunął nogi i ustawiał coś z patyków i pudełek od zapałek.

Zapomniał już o ojcu i matce zupełnie.

Ciotka nalała czystej wody do balii na niebieskawą, uległymi warstwami rozciągniętą bieliznę i oddała się całkowicie gotowaniu obiadu, przesuwając co chwila ze szczękiem fajerki wśród snopów iskier i chwytliwych języków ognia.

Magister patrzył w tamtą stronę z przyjemnością, wmyślając się niekiedy jak dziecko błędnie w ogrzewającą, złotą przepaść płomienia. Kapusta już się ugotowała, z wrzaskiem wleciały w nią skwarki z patelni, tylko w dużym saganie kartofle skakały zabawnie, zdając się uganiać zapamiętale za tańczącymi bryzgami piany z wodą. Wuj manipulował coś flegmatycznie przy ogniu i posępniał coraz bardziej. Zły jego humor poczynał ciążyć na magistrze, jak zbyt wielki kamień na plecach. Wreszcie wuj westchnął, odsapnął i nieco raźniejsze oczy utkwił w małym Kaziu. Kiwał na niego palcem z pełną zapowiedzi tajemniczością. Chłopak spojrzał na niego niedowierzająco kilkakroć, wreszcie wstał i z niewyraźnym uśmiechem podszedł do ojca. Ten złapał go pośpiesznie za głowę i wołał z fałszywą radością i udanym gniewem.

— Ja ci teraz sprawię lanie! Ja ci dam płakać! Ty, łobuzie jeden — malec śmiał się trochę twardymi akcentami i próbował wyrwać się z objęć ojca. Otworzyły się drzwi i weszła Jadźka. Zbliżyła się do stołu, uścisnęła milcząco rękę kuzyna i zdejmowała prędko, krótki, zielonkawy płaszczyk. Magister patrzył nieco pomieszany na jej tecz-

kę, leżącą na stole i wypchaną książkami.

Stanęła przed lustrem i czerwonym, małym grzebyczkiem podczesywała włosy obcięte a la Luiza Brooks.

Spoglądał niby z niechęcią na jej wysmukłe, silne i opalone nogi bez pończoch, dziewczęcy, ale śmiały biust, doskonale zarysowane biodra i mocną, paskiem objętą kibić. Miała czerwone usta i płomyki w oczach.

Poprawiała grzebykiem czuprynę i pytała matkę głosem ostrym i jasnym:

— Mamusiu. Prędko będzie obiad?

— Obiad już niedługo, ale musimy na Antka i ciotkę poczekać z godzinę.

— Będzie ciocia? Mamusiu, ja trochę teraz zjem, co jest i zaraz pójdę. O trzeciej mamy zbiórkę w Agrykoli — mówiła pośpiesznie, poprawiając sobie coś przy oku.

Ciotka nie odpowiadała, wuj o niczym nie słyszał, z wielką przyjemnością przekomarzał się z Kaziem.

— Czyś ty oszalała, — odezwała się nagle matka — jak ty możesz wychodzić? Jest Władzio, zaraz przychodzi ciotka. Dziewczyno, czy ty się na niczym nie znasz?

— Ja muszę tam być, bo to jest ważna zbiórka.

— To nie jest żadna zbiórka, tylko ty się znowu z tym chłopem umówiłaś. Jadźka nie odpowiedziała wcale, oczy jej przesłoniła chmurka niecierpliwości i gniewu.

— No, da mamusia mi co do zjedzenia, czy nie?

— Nic nie dam, bo będzie zaraz obiad?

— No to ja i tak pójdę.

— A idź!...

Wojowniczymi krokami podeszła do wieszaka, zdjęła płaszcz i poczęła się energicznie ubierać. Nagle wuj poderwał się gwałtownie z kuferka i krzyknął:

— Dokąd ty się, psiakrew, szykujesz? Ani kroku z mieszkania! — patrzył na nią impetycznie, czerwony i z rozwścieklonymi oczyma. Dziewczynie wzrok tylko zasłonił się mgłą, ale zapinała się spokojnie dalej.

— Zaraz zdejmuj płaszcz! — wołał w najwyższej alteracji i raptem chwycił za pas, zwisający z maszyny do szycia, używany niedawno przez ciotkę. Nieprzytomny okładał dziewczynę razami na oślep, sapiąc i gniotąc w ustach słowa ordynarnych przekleństw. Magistrowi oddech stanął w gardle. Zasłonił twarz rękoma i czuł, że ciosy przede wszystkim spadają jakby na niego, za jego tu przybycie, ukazanie się ze swoją nędzą i własnymi zaszarganymi sprawami. Prawie, że mdłości chwytały go, w skroniach pulsy waliły pośpiesznie, odjął dłonie od twarzy i zdeterminowany, gotowy do obrony dziewczyny i zarazem jakby samego siebie, patrzył na Jadźkę. Odwracała się ona jak mogła plecami do napastnika, była czerwona i wzburzona, ale magister dostrzegł, że w tym wszystkim rzuciła spojrzeniem z niespokojną uwagą na tarczę zegara, uwolniła się wreszcie od ojca i wybiegła, zatrzaskując za sobą z hałasem drzwi.

— Wygonię z domu na zbity łeb! — wołał wuj i dążył pośpiesznie nie wiadomo po co, w kierunku łóżka.

Ciotka przez cały czas siedziała w swej przegródce cicho jak trusia, teraz tylko dochodziło stamtąd coś w rodzaju chlipania.

Magister podniósł się ukradkiem z krzesełka i starając się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, nieznacznie przedostał się do wieszaka i cichaczem nakładał palto. Ale dostrzegła go ciotka.

— Niech Władzio zostanie, będzie zaraz obiad! — odezwała się płaczliwym głosem.

— Nie ciociu. Ja już powinienem dawno wyjść. Czekają na mnie — mówił gorączkowo i czym prędzej zapinał guziki.

— Do widzenia — rzucił pośpiesznie.

Nie odpowiedział mu nikt, zamknął delikatnie drzwi i szedł po schodach niezdarnie, słaniając się jak w gorączce.

Na półpiętrze przystanął, kurczowo chwytając się za poręcz, bo gwałtowny szum zerwał się w głowie i w oczach mu pociemniało. Dokuczała mu niezmiernie mdląca czczość żołądka. Spłynął raczej niż zeszedł po schodach, na ulicy mokry powiew wiatru ocucił go. Stał długo bezradnie nad brzegiem jez-

dni, rozglądając się błędnie wokół, wreszcie ruszył stanowczo przed siebie wysilonym, nerwowym krokiem.

Stanisław Łukasiewicz

Był sobie raz... kurkowy król

Królem, który na swym tronie utrzymał się najdłużej, mimo wojen a nawet zaborów, był król — kurkowy.

Tradycja jego datuje się od wieków średnich, kiedy to każde miasto celem

obrony przeciw napadom nieprzyjaciół, opasane było murem. Ponieważ mieszkańcy podzieleni na różne bractwa, zamieszkiwali zwykle osobną ulicę, np. szewcy — Szewską itd., a każdy miał wyznaczoną część najbliższych murów do obrony, zaczęły się tworzyć osobne bractwa dla ćwiczenia się w celnym strzelaniu z łuków.

„Dla wprawy do odpierania najazdów nieprzyjacielskich — pisze Gołębiowski — była w Krakowie szkoła strzelecka. Od niepamiętnych czasów istniała aż do ostatniego rozbioru Polski. Ćwiczyła się w niej młodzież w strzelaniu z łuków, kusz itp."

Już Bolesław I, książe śląski z roku Piastów, potwierdził w r. 1286 bractwo strzeleckie miasta Świdnicy i sam uczestniczył, gdy do ptaka na wysokiej żerdzi zatkniętego, Świdniczanie z łuków strzelali. Ponieważ za Kazimierza Wielkiego 72 miasta polskie zostały ufortyfikowane, przeto większość tych miast posiadała bractwo strzeleckie.

Królowie otaczali szczególną opieką to bractwo, często król ze dworem bywał w tej zabawie, a synowie senatorów ubiegali się o lepsze z mieszczanami. „Kto ustrzelił łeb — pisze Gloger w swej staropolskiej encyklopedii — ogon lub skrzydło kurka, dostawał w nagrodę półmisek cynowy z wyobrażeniem tejże części, kto zaś w same piersi kurka trafił, zostawał królem kurkowym na rok cały."

Za czasów przebywania królów polskich w Krakowie, cała rodzina królewska wraz z dworem bywała na obrzędzie obioru króla kurkowego, który rozpoczynał się nabożeństwem u Panny Marii, a kończył strzeleckimi zapasami.

W drodze na tak zwany „Celestat", kozernicy, czyli „lekka strzelba" śpiewali staropolską piosenkę:

„A dalejże, kozernicy,
Krzeszcie kurki u rusznicy,
Który postrzeli koguta,
Temu zabrzmi wdzięczna nuta,
A kto kurka zbije,
Wiwat król niech żyje!"

Gdy kozernicy wkraczali na miejsce zapasów, huczne trąby ogłaszały całemu światu bezkrólewie. Następnie rozpoczynały się popisy strzeleckie, których przebieg śledził liczny tłum widzów, rozmieszczonych nie tylko na ulicy, lecz i na dachach, na kominach i dymnikach.

Strącenie kurka oznaczało wybór nowego króla, który trębacz ogłaszał z wieży kościoła. Dawny „władca", zdejmował łańcuch z kurkiem, i dawał nowemu, a także stary marszałek nowemu marszałkowi buławę. Wśród wesołych okrzyków odprowadzano zwycięzcę do domu, gdzie przyjmował on magistrat i zgromadzenie strzeleckie hojną ucztą.

„Kurkowy król" — w nagrodę swej zręczności, używał przez czas swego „królowania" znacznych przywilejów, mogąc np. nie płacić podatków i sprowadzać wino i towary bez cła, co w

r. 1765 zamieniono w Krakowie na dar pieniężny 3 tys. złotych polskich wynoszący.

Zygmunt III i **Władysław IV** dbali bardzo o szkołę strzelecką, odnawiając stale jej odwieczne przywileje. **Jan Kazimierz**, pragnąc mieć „ludzi sposobnych do wojny" przywilejem z 1652 r. nadał bractwu warszawskiemu obszerny plac do ćwiczeń.

O zwyczaju strzelania do kurka w **Poznaniu** mamy pierwszą wiadomość z XV wieku. Potem w 1537 r. nadał magistrat poznański bractwu strzeleckiemu nowy statut. Ze statutu, zatwierdzonego przez Stefana Batorego, dowiadujemy się, że w Poznaniu strzelano wówczas do kurka z łuków, że w skarbcu spoczywał łańcuch złoty o 58 ogniwach, wagi 116 dukatów. (Zginął, zrabowany podczas wojny szwedzkiej za Augusta II.) W okresie drugiej niepodległości uroczystości poznańskiego Bractwa Kurkowego odbywały się na Szelągu w Zielone Świątki.

Bractwo kaliskie znów posiadało spis wszystkich królów kurkowych. W miastach, które przeszły pod rządy pruskie, bractwa jakoś przetrwały, przestały jednak strzelać do kurka, strzelały tylko do tarczy, której środek czerwony otoczony był obwodem czarnym. Ostatnim królem kurkowym za Rzplitej Królewskiej był Stanisław Piątkowski — pasztetnik.

Mawiano więc dowcipnie:

„Stanisław Poniatowski, ostatni król polski,
Stanisław Piątkowski, ostatni król kurkowy."

Kazimiera Topińska

W Zielone Święta 1944

(urywek wspomnień)

W latach okupacji ludność polska Poznania tylko przez 3 dni w roku wolna była od niewolniczej pracy w niemieckich fabrykach. Były to pierwszy dzień Bożego Narodzenia, Wielkanoc i Zielone Święta. Wiedzieli o tym alianci i dlatego właśnie w Wielkanoc i w Zielone Święta 1944 r. obrzucono bombami obiekty przemysłowe w Poznaniu. Pierwszy z tych nalotów, w którym brali udział lotnicy polscy był niezwykle celny. Żadna dosłownie bomba nie spadła na domy mieszkalne ludności polskiej. Szczyt celności stanowił fakt, że zbombardowano niemieckie kasyno wojskowe przy Placu Sapieżyńskim, stojące wśród domów zamieszkałych przez ludność cywilną, nie uszkadzając tych ostatnich.

Nalot w Zielone Święta miał dwa cele na widoku: zniszczenie fabryki samolotów w Krzesinach i uszkodzenie urządzeń poznańskiego węzła kolejowego.

Dzień był słoneczny, niebo bez jednej chmury. Siedziałem właśnie na ławce w Dębinie, kiedy z oddali słyszałem głuche pomruki detonacji. To eskadra bombowców załatwiała się z Krzesinami. Pracę wykonano dokładnie. Ani jeden budynek fabryczny, ani jeden hangar nie pozostał. Niemcy po tym nalocie zrezygnowali z odbudowywania Krzesin.

W pewnym momencie na błękitnym tle nieba zamigotały srebrne plamy eskadry bombowców, lecących w zwartym szyku od strony południowo-wschodniej ku miastu. Samoloty leciały wysoko, nic sobie nie robiąc z wykwitających wokół białych dymków pocisków niemieckiej artylerii przeciwlotniczej (Flak). Przeszybowały nad Dębiną i za chwilę dał się słyszeć ogłuszający huk zrzucanych bomb. Zie-

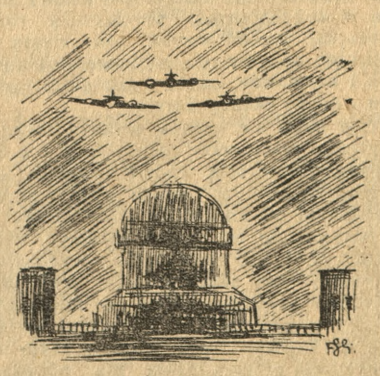

mia zatrzęsła się, Wilda pokryła czarnym dymem pożarów. Kiedy patrzyłem z Dębiny, wydawało mi się, że bomby spadają tuż, tuż... Przypuszczałem, że samoloty — podobnie jak we Wielkanoc — atakują zakłady Cegielskiego, sławetną katownię DWM. Było jednak inaczej. Bomby spadały na tereny położone między ul. Roboczą i Kolejową. Celność tym razem była znacznie gorsza niż we Wielkanoc. Bomby amerykańskie zniszczyły sporo domów przy ul. Różanej, Czesława i Wierzbięcicach, powodując straty wśród ludności polskiej.

Efekt nalotu był w skutkach swych poważny, wstrzymał bowiem na kilka dni łączność ze wschodem, co w owych czasach zaciekłych bojów milionowych mas ludzkich miało wielkie znaczenie.

J. B.

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Na powitanie Zjazdu Geograficznego w Poznaniu

Od Wincentego Pola do Eugeniusza Romera

Ziemioznawstwo polskie ma swój Panteon. Szczyci się szeregiem wspaniałych postaci, tyle dla nauki zasłużonych, tak bardzo polskich w swoich poczynaniach. Jeśli u czoła owego szeregu postawić Długosza, którego zasługi geograficzne już wielokrotnie oceniono, jeśliby dalej wspomnieć Staszica, Zejsznera — to bezwarunkowo przyjdzie kolejność na imię i nazwisko „wieszcza-poety", jakim był Wincenty Pol. A choć w pamięci społeczeństwa pozostał Pol zaledwie tylko poetą, autorem „Pieśni o ziemi naszej", autorem poczciwych wierszy i gawędziarskiego tonu opowiadań — to przecież indziej trzeba szukać tytułów do sławy autora „Mohorta".

Lubelskie przedmieście było miejscem urodzin Wincentego Pola w dniu 20 kwietnia 1807 roku. Młodzieńcze lata spędził w Tarnopolu u Jezuitów, po czym przeszedł na studia filozoficzne w Uniwersytecie Lwowskim. Nim wybuchło powstanie listopadowe Pol zjawił się we Wilnie, by tam zastąpić wykładowcę germanistyki. Po drodze „dojrzał" krajobraz mijanych stron i zainteresował się bardziej, niż dotąd przyrodą okoliczną. Po upadku powstania musiał iść na obczyznę i na długo stracił serce do swych przyrodniczo-geograficznych zainteresowań. Odzyskał je dopiero po podróżach, jakie przedsiębrał po północnych Niemczech. Nostalgia zmusiła go do powrotu. Przez Wielkopolskę wrócił do Krakowa. Jako 25-letni młodzieniec przemierza milowymi krokami Wołyń, Ukrainę i Podole, co zwraca uwagę Austriaków. Unika posądzeń o konspirację polityczną i kryje się w Tatrach. Ogłasza w 1835 roku w Krakowie swą „Podróż do Tatr" — pierwsze dzieło geograficzne. Od Tatr poczęte! Zaczynają się teraz lata wędrówek już o ściśle ziemioznawczych podstawach. Wincenty Pol marzy o naukowym opisie całości ziem polskich. Zawiązuje kontakty osobiste i przyjaźni z wielu uczonymi polskimi. Od każdego z nich uczy się metod badawczych. Jego geografia ma silnie podrysowany aspekt przyrodniczy. Tak poznał Wincenty Pol całe północne stoki Karpat. W roku 1844 dzieło opisowe było już gotowe do druku. Tymczasem udaje się jeszcze w podróż po Morawach i zwiedza kraje alpejskie. Wracając z wędrówek po Alpach wchodzi raz jeszcze do Tatr. Następuje najbardziej ponury epizod w biografii Pola — napadnięty przez zbuntowane masy chłopskie w 1846 roku doznaje niepowetowanej straty. Palą mu wszystkie notatki i mapy... Wkrótce widzimy Pola w Ossolineum, jako redaktora wydawnictw. I znowu jeździ po Polsce dla zjednania prenumeratorów. Przed 101 laty zwiedza nasz „poeta-geograf" Sudety, poznaje się osobiście z wielkim Humboldtem. Nachodzi go myśl stworzenia w Krakowie geograficznego ośrodka naukowego przy uniwersytecie. I oto w listopadzie 1849 roku powstaje urzędowo zatwierdzona pierwsza polska katedra geografii. Profesorem zostaje mianowany właśnie Wincenty Pol. Już w początku stycznia roku następnego udzielają Polowi stopnia doktora filozofii. Pierwsza prelekcja staje się niemal manifestacją patriotyczną. Słuchacze entuzjastycznie witają człowieka, który w kąt odrzucił lutnię a jął się nauki ku pożytkowi sprawy narodowej. Pięć półroczy trwały Polowe wykłady uniwersyteckie przegradzane wycieczkami i nawet ćwiczeniami. W Tatrach postawiono drewniany krzyż w Dolinie Kościeliskiej podczas jednej z takich wypraw. „I nic nad Boga..." głosił na nim napis. Jednak przyszedł kres tej działalności, bo oto w dniu 1 stycznia 1853 roku dymisja czterech najpatriotyczniejszych profesorów objęła sobą i Wincentego Pola. I znowu lata tułaczek po domach miast i dworach wsi. Drukują się rozprawy Pola ale z czystą nauką nie mają już wiele wspólnoty. Wincenty Pol wyważony ze siodła nie może sobie odszukać właściwego miejsca. „Obrazy z życia i natury" raz jeszcze społeczeństwu przypominają „geografię" ziemi ojczystej... W dniu 2 grudnia 1872 roku umiera. Ale już w trzy lata później wychodzą drukiem „Dzieła zbiorowe" i od tej chwili wdzięczniejeje pamięć rodaków coraz pełniej. Zasługi naukowe Pola oświetlają uczeni pod wielu aspektami. Władysław Szafer pisze o wkładzie Pola w znajomość geografii roślin. Stanisława Niemcówna publikuje wyczerpujące studium o „geografie" Polu. Dziś jasno widać, że profesor pierwszej katedry uniwersyteckiej w tej dziedzinie nauki stoi u kolebki, u źródeł polskiej, naukowo pojętej geografii.

Eugene Delacroix (1797—1863) „Masakra w Chios"

Gdy Wincenty Pol umierał, we Lwowie żył już od roku Eugeniusz Romer. Chluba polskiej nauki, chluba narodowej geografii przejął od swego wielkiego poprzednika, zapał i wspaniałą intuicję w odkrywaniu praw ziemi. Gimnazjum ukończył w Nowym Sączu. Studiował w Krakowie, Hali i we Lwowie. W roku 1894 uzyskał doktorat, a po dodatkowych studiach za granicą powrócił do Lwowa. W ostatnim roku minionego wieku rozpoczął wykłady z dziedziny geografii na uniwersytecie, a profesorem został w roku 1908. Data owa jest ważna w rozwoju polskiej nauki geograficznej. Wydaje bowiem Eugeniusz Romer dwie nieprzeciętnej wartości publikacje: Atlas geograficzny i Podręcznik geografii dla szkoły średniej. I zważcie: po latach czterdziestu pojawia się najnowsze wydanie „Atlasu Polski współczesnej", drukowane w małym formacie we... Wrocławiu! Bo tam teraz znalazły schronienie warsztaty kartograficzne Romera i stamtąd idą na całą Polskę i na cały świat nowe mapy. Odrodził się nasz słynny przemysł drukowania map dzięki siłom i zapałom Eugeniusza Romera. Jeśli dać już porównanie godne wartości — to chyba Wielki Hetman sceny polskiej Ludwik Solski może podać prawicę Wielkiemu Hetmanowi polskiej geografii Eugeniuszowi Romerowi! Obaj żyją i obaj działają w odmiennych wprawdzie kierunkach, ale punkt zbieżny jest ten sam: Polska Kultura Duchowa!

Niesposób na tym miejscu przypominać całożyciową działalność Romera. Jest tak wielostronna, tyle w niej żaru i świętego ognia, tyle wyników, tylu uczniów, którzy z kolei zasłynęli własnymi uczniami... Gdy dziś w Poznaniu zjawia się Eugeniusz Romer na ogólnopolskim Zjeździe Geograficznym — wiadomo, że jesteśmy świadkami zdarzeń niezwykłych. Witają Go uczniowie, dziś profesorowie licznych katedr uniwersyteckich. Witają Go ich uczniowie, witają Go wreszcie rozliczne rzesze skromnych nauczycieli geografii w gimnazjach i szkołach powszechnych. Ci mają tym większe prawa, że są bezimienni. Że pracują za zasługą Romera i wychowują młodzież w duchu obywatelskim. Że dają tej młodzieży w ręce polską mapę i polski podręcznik. Niechże — jeśli dotąd Eugeniusza Romera nie widzieli — przyjrzą się owej postaci nam wszystkim drogiej. Niech wiedzą, że oto stanął przed „plenum" Zjazdu człowiek, któremu nade wszystko w życiu całym droga i ukochana była Polska!

Dr Jerzy Młodziejowski

Przegląd kulturalny

Ubiegły okres MTP. zaznaczył się również ożywioną działalnością kulturalną na terenie miasta Poznania. Masy napływające do miasta spragnione sztuki — napierały gromadnie na bramy teatrów i sal koncertowych. Dyrekcje i artyści dwoili się, aby tym żywiołowym potrzebom sprostać. Teatry: Opera, Polski, Nowy, Komedia Muzyczna dawały po dwa przedstawienia dziennie, przy nieustannych kompletach. O mistrza Solskiego w „Judaszu" bili się nieomal ludzie w ogonku. Dla wielu była to pierwsza okazja zobaczenia go po wojnie. Ambitny teatrzyk Ziemi Lubuskiej im. J. Osterwy pod dyrekcją A. Gąssowskiego przyjechał z cichego Gorzowa do ludnego Poznania na gościnne występy i zainstalował się w skromnej salce Teatru Aktora i Lalki dając codziennie „Rozdroże Miłości".

W dziedzinie imprez muzykalnych poza cotygodniowymi występami Robot. Filharmonii Poznańskiej w Auli Uniwersyteckiej zanotować trzeba występy solistów: Nadzieji Padlewskiej (4. 5.), recitale: Jana Bereżyńskiego — szopenisty (7. 5.) i Jerzego Gardy, naszego wielkiego śpiewaka (8. 5.). Poza tym odbyły się dwa wieczory „Arii i Pieśni Polskich" w wykonaniu solistów Opery i dwa recitale taneczne, chluby poznańskiej, primaballeriny Bittnerówny oraz jej partnera Kaplińskiego.

Mniejszym powodzeniem u gości na MTP. cieszyła się plastyka. Mało kto wiedział nawet, że przy al. Marcinkowskiego 28, w lokalu, ukrytym niemal konspiracyjnie w podwórzu, otwarta została i trwać będzie do 22 maja wystawa plastyków poznańskich ZZPAP. Skromniutka salka, szczuplutka ilość obrazów — stały poza głównym nurtem przewalającym się i kipiącym przez miasto. Czy przypisać ten objaw niezrozumieniu malarstwa przez szerszy ogół społeczeństwa, czy znużeniu nadmiarem wrażeń wzrokowych na MTP., czy niedostatecznej reklamie — trudno orzec. Może grały tu rolę wszystkie trzy przyczyny. W każdym bądź razie, salka sztuki plastycznej była cicha, jak prawdziwemu sanktuarium przystało i sprzyjała kontemplacji i artystycznej zadumie.

Więcej już znacznie, bo kilkanaście tysięcy widzów (przeważnie wycieczek) przesunęło się przez Wystawę Wiosny Ludów, urządzoną obecnie w części Muzeum Wielkopolskiego, a mającą trwać do końca maja. Wystawa ta otwarta równocześnie z MTP. obejmuje rzadkie i ciekawe dokumenty, listy, broń ówczesną, mundury, portrety powstańców i działaczy. Jest ona ważnym czynnikiem propagandowym zaznajamiającym ogół szeroki z tą ważną dla dzisiejszego rozwoju — chwilą historyczną.

Jeśli już jesteśmy w muzeum trudno pominąć akcję podjętą przez Biuro Wystaw Objazdowych przy Muz. Wielk., a to, zorganizowanie pierwszej — z szeregu projektowanych — Wystawy Objazdowej. Nosi ona tytuł: „150 lat malarstwa polskiego" i obejmuje 35 obrazów najwybitniejszych polskich mistrzów od czasów St. Aug. Poniatowskiego aż po początek XX wieku. Pierwszym etapem wystawy było Leszno, gdzie odbyło się uroczyste jej otwarcie dnia 7. 4. Po tym przewieziona została na 6 dni do Zielonej Góry, gdzie zdobyła dotychczasowy rekord zwiedzających (8000 osób), później 4 dni zatrzymała się w Lubsku, i 6 dni w Krośnie. W ten sposób metodyczny i dydaktyczny zapoznawać się będzie społeczeństwo ze sztuką plastyczną. Muza zeszedłszy łaskawie ze swojego tronu — idzie sama między rzesze, aby je ze sobą oswoić i wzbudzić w nich ku sobie zamiłowanie. Miejmy nadzieję że po roku takiego dobroczynnego działania Salon Sztuk Plastycznych na przyszłych MTP. (prawdopodobnie do tej pory rozszerzony) będzie pękał od nadmiaru ciekawych i wrażliwych na piękno widzów.

Kogo jeszcze interesowała artystyczna fotografia — szedł na ogólnopolską jej wystawę w Domu Pocztowca, gdzie podziwiał nowe i efektowne osiągnięcia techniczne i artystyczne tej sztuki, której muza na Olimpie znaną nie była.

Odczyty naukowe i literackie jako dziedzina kultury poważnej i wymagającej wysiłku myśli — niewyławiała słuchaczy spośród chciwych rozrywki gości „wielkiego jarmarku". Niemniej stali bywalcy czwartków literackich — mieli dwa piękne wieczory: Prof. Pollaka o motywie pracy w literaturze polskiej i Jana Kotta o powrocie do klasyków.

Teodor Śmiełowski

Zielonoświąteczna antyfona

Ku Tobie dusza moja biegnie rozmodlona,
Jak w kiściach bzu nabrzmiała śpiewem antyfona

Muzyką organową zaszemrały liście,
Myśli me pną się w niebo jak gotyk strzeliście.

I otwiera się oczom tryptyk dni srebrzysty...
(Tchnie ponad światem groźnie wiew Apokalipsy.)

Przez pola szum się wzmaga od szarych fal Wisły
I Łaska spływa w serce językiem ognistym.

Przepal jej żarem dłonie grzechem uznojone,
Weź — Duchu Święty zmysły w darów Twych obronę.

A od zgubionej drogi zdroje światła trysną
I tęczy barwne mosty przerzucą nad Wisłą.

Brzozy — jak semafory znaczą drogę w wiosnę
W deszczu świeżej zieleni razem z nimi rosnę.

Mowa z pomroków nocy wiarą oczyszczona,
Ulata — jak maryjna w pieśni — antyfona.

Z bzów zaś jak z trybularzy woń bije w zaświaty
Wznoszą się w duszy zręby katedry bogatej ...

---

kłapać zębami. Próbował naciągnąć nienawistnymi ruchami kołdre na uszy, ale treściwy płacz chłopaka spływał nań niepowstrzymanym strumieniem, jął wołać tedy przez zaspany nos:

— Co ty z nim psiakrew, robisz? Czego on się tak drze i spać ludziom nie daje? U was tu umarły by powstał — biadał nieszczęsnym głosem, gramoląc się wśród ciężkiej kołdry i olbrzymich poduch.

Usiadł na krawędzi łóżka, spuścił nogi w zmiętych w harmonijkę gatkach z długimi frendzlami i wierzchem pulchnych rąk z niedbałą obojętnością wycierał kąty oczu. Nie interesował się już co się działo w drugiej połowie pokoju. Ciotka czerwona i zasapana, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na przedchwilowe okrzyki męża, potrząsała już teraz tylko paskiem przed twarzą dzieciaka i obracała nim gwałtownie, z odszczepieńczą bezceremonialnością.

— O, teraz będziesz wiedział za co płakać. Cicho mi bądź, ty przeklęty smarkaczu. Będziesz mi tu pokazywał swoje fąfle. Ja nie ojciec, ja cię tu nie będę pieściła i rozpuszczała — mówiła zmienionym z wysiłku głosem, wracając do kuchni i kapusty, w której zaczęła pośpiesznie drewnianą łychą mieszać i niespokojnie badać jej smak.

Wuj leniwie przechylił się, sięgnął po zesztywniałą skarpetę i przyglądał się z filozoficznym jakby optymistycznym zastanowieniem. Odezwał się zaraz równym tonem i bezosobowo.

— Tak, tak, chodź Kaziu, to cię ojciec popieści, chodź!

Rozwijał metodycznie górną część skarpetki i kładł wreszcie w jej odchyloną, wąską paszczę, tłusty robak nogi o czerwonych piętach i palcach, żółtozielonkawej podeszwie.

Magister, chociaż od dawna pragnął schować się w ścianę, na te manipulacje wuja patrzył z usłużnym, krewniacko życzliwym uśmiechem. Uznał też, że nadszedł już czas zrobić wujowi przyjemną niespodziankę i dać znać o swojej obecności, toteż odezwał się tonem ochoczym, pełnym radości życia i zarazem wiary w przyszłość. Jednocześnie głos jego miał miłą, koleżeńską poufałość, nie zwracającą absolutnie uwagi na różnicę wykształcenia

— Uszanowanie wujaszkowi. Co słychać u wujaszka wesołego? — znowu koleżeńskim ruchem założył nogę na nogę.

Wuj podczas przecierania oczu maleńką szparką dostrzegł przybysza i ustosunkował się do jego obecności z fatalistyczną obojętnością.

Teraz nie odpowiedział od razu na jego przywitanie ale przyjrzał się uważnie naciągniętej skarpetce, ogładził dobrze jej przestrzeń ponad stopą i odrzekł:

— Co słychać, co słychać? Bida, słychać.

— No, to wszędzie. Dzisiaj są takie podłe czasy! — zżymał się pochopnie z wyraźnym wstrętem, który miał jakby bronić wuja na wypadek zarzutów, że przez własne niedołęstwo znajduje się w biedzie.

Magister odczuł przykry niesmak przy obłudnym wypowiadaniu tego banalnego ogólnika, bo zarazem powstała w nim cała pasja uczuć, myśli, naukowych poglądów. Napłynęło do mózgu mnóstwo znanych i osobiście wykoncypowanych argumentów na temat coraz większego zubożenia proletariatu. Wskutek zmęczenia, głodu i wewnętrznej, śmiertelnej nudy, nie próbował, jak nieraz, wygłaszać filozofii społecznych. Na nic to się zresztą zwykle nie przydawało. Wuj teoriami kuzyna czuł się sprowokowany we własnej mądrości.

Występował zwykle natychmiast z czymś przeciwnym, z pojęciami chaotycznymi, nawzajem się wykluczającymi, gdzie jedno z drugim nie miało najmniejszego związku. Stawał się krzykliwy, namiętny i co chwila się obrażał. W końcu wydawało mu się, że pobił absolutnie swego „uczonego" kuzyna i był szyderczo zadowolony z siebie. Dla magistra nie istniało teraz nic ważniejszego na świecie od spodziewanego obiadu, dlatego jakaś podła, atawistyczna służalczość kazała mu się w każdej chwili psychicznie rozpłaszczać przed wujem jak ciasto a przecież mógłby się zachować obojętnie i normalnie, chyba i tak daliby mu ten nędzny ochłap żarcia.

Nie mógł się jednak wyzbyć owego lękliwie grzecznego zachowania i z usłużną gotowością wodził nieśmiało oczyma za każdym ruchem wuja i przychodzącej od kuchni do stołu ciotki.

Potęgowało to jeszcze bardziej nieznośność i tak dziwacznie wykoszlawionego jego samopoczucia. Wuj, odwrócony szerokim zadem do niego, naciągał niezdarnie i z kłopotami spodnie na krótkie, tłuste nogi, w czym uporczywie przeszkadzała mu pokaźna dynia brzucha. Magister widząc, że wuj zamilkł i osamotniał, a zamazaną twarz jego okrył cień przykro obiektywnego zastanowienia, schował głowę między wielkie karty tygodnika i pustymi oczyma patrzył w szeregi liter. Ciotka zamaszyście tarmosiła się z balią, z długimi strzelistymi pasami brudnej wody, zajmowała to tę, to inną pozycję, a jej wielka, zaciekle czerwona twarz kołysała się miarowo w mgle gęstej i oślizgłej, osiadającej grubymi kroplami rosy na wytartych drzwiach szafy. Wuj podszedł powoli do zlewu, a magister patrzył na niego i ciotkę swobodnym, swoim własnym spojrzeniem.

Kazio stał przy paltach i już w milczeniu, z rozżaloną obojętnością w stosunku do otoczenia, kręcił w palcach frendzle jakiegoś szala.

Na widok ich pospolitej biedy, mimo że sam był w daleko gorszym położeniu — bez jadła i bez mieszkania — przejmowała go złość i żałość.

Zarazem w tych prymitywnych warunkach czuł się dziwnie dobrze, przypominała mu się od szeregu lat nieprzeżywana dawna, dziecięca, niezwykle świeża radość życia. Było to tak silne, że uświadamiało mu się poprzez głód, pomieszanie i tak wielkie wyczerpanie organizmu. Wuj mył się przy zlewie z należytym rozmachem, prychał przepisowo, wzdychał głęboko i trzepał około karku z przejęciem rękami, ale w tym wszystkim przejechał tylko parę razy po zleżałej słoninie policzków mokrymi dłońmi i ostrożnie dotknął kilkakroć palcami wilgotnymi szyi, po czym wycierał się akuratnie i z należytą energią długim ręcznikiem. Wreszce zawołał do żony:

— A koszulę dla mnie, gdzie masz? —

Przerwała pranie, wytarła ręce w jakąś brudną szmatę i szybko podeszła do kuferka przy oknie, skąd wyciągnęła świeżą, szeleszczącą koszulę. Położyła ją w milczeniu na łóżku i odeszła do kuchni. Wuj ściągał z siebie przez głowę szarą i zapotniałą szmatę. Ukazało się światu jego białe, guzowate od tłuszczu ciało, porosłe tu i owdzie kępami długiego włosa. Spokojnie szykował do włożenia nową koszulę i odezwał się do przybyłego spoglądającego nań ze sztucznie naturalną miną.

— No, a u Władzia, jakżeż, jest posada, czy nie ma? —

— Sam wujaszek wie, jak to teraz z posadami. Nie pomaga największe nawet wykształcenie! — odpowiedział pochopnie, tonem gotowania się do głębszych zwierzeń na ten temat.

— Ale wujaszek dobrze wygląda! — okrzyk jego miał charakter jakby zdziwienia czy pocieszenia. Wuj z nabrzmiałą twarzą męczył się przed lustrem przy zapinaniu przyciasnego kołnierzyka koszuli. Wygłoszona uwaga nie podziałała na niego wcale. Odpowiedział spokojnie:

— Dobrze się wygląda, ale ze zmartwienia.

— No, cóż za zmartwien e? — magister potraktował to na wesoło, jako niezły dowcip.

— Dziwi się Władzio, co to za zmartwienie? — odezwała się raptem z kuchni ciotka — toż to z Jadźką mamy stale to samo skaranie boskie.

— Ja już nie wiem, co za diabeł wlazł w tę dziewczynę, że ani jej wybić z głowy tego łobuza! — narzekała miarowo, tonem jednostajnym, używanym stale do tej sprawy.

— A co, chodzi ona jeszcze z nim dalej? — pytał magister, nagle speszony. Znienacka poczuł się naturalniej i swobodniej. Uwolnił się od owej poniżającej zależności, ale urażony został za to dotkliwie w inną stronę swojej miłości własnej. Nie lubił słuchać o tej całej historii, ponieważ sam miał kiedyś pewne aspiracje w stosunku do Jadźki.

(Dokończenie na stronie 4).

W świecie kobiety

Co było i czego nie było na rewii Ligi Kobiet

— Miałam w ostatnią niedzielę gości, którzy byli tak zmęczeni zwiedzaniem Targów, że nie chcieli wybrać się na rewię Ligi Kobiet. Czytałam wprawdzie zaraz następnego dnia w „Głosie Wlkp." obszerne sprawozdanie z tej rewii — ale to nie to, co samej widzieć...

— A co Ciebie najwięcej zaciekawia?

— Oczywiście, że nie meble, a modele sukien i bluzek!

— Tych ostatnich na rewii nie było. Może dlatego, że jeżeli Liga Kobiet w swojej szwalni potrafiła uszyć suknie za 1300 zł, to bluzki musiałaby chyba za darmo oddawać...

— Żartujesz, a ja szukam ładnych wzorów na bluzki. Z lekką spódniczką — najpraktyczniejszy to ubiór do biura i w domu. Znacznie mniej materiału potrzeba niż na suknię — i bluzkę też łatwiej wyprać.

— Spójrz na rysunek! Pierwsza na lewo, zmodyfikowana bluzka koszulkowa. Marszczenia korzystne są dla pań o szczupłym biuście.

— A tę drugą efektowną bluzkę uszyć można z modnymi zakładkami lub też połączyć materiał w paski z gładkim, prawda?

— Tak. Trzecia bluzka ma modną pelerynkę — i może być uszyta z podniszczonej letniej sukienki.

— Wprawiłaś mnie w kłopot! Ta czwarta bluzka jest też bardzo elegancka...

— Daj sobie wszystkie cztery uszyć! Ze starych sukienek lub z bardzo taniego sztucznego jedwabiu czy też kretonu. Szwalnia Ligi Kobiet tak starannie uszyła suknie na rewię, że śmiało Ci mogę ją polecić. Taniej nikt Ci nie uszyje...

— Opowiedz mi jeszcze coś o sukniach, jakie tam widziałaś.

— Zbyt dużo było modeli, aby Ci je wszystkie opisywać. Najwięcej podobały mi się sukienki, które cechowała asymetria ozdób: guzików, kieszonek, czy też kontrastowych w kolorze plis.

— A były stroje plażowe?

— Podobno tak, ale z nadmiaru modeli nie zdążono ich pokazać. Łatwo to jednak przebolałam, bo od lat się one niewiele zmieniają. Za to była to pierwsza rewia, na której nie pokazano w większości tualet wieczorowych — i drogocennych futer.

d. w. b.

Odpoczynek bodźcem do pracy

Obowiązki dobrej pani domu nie należą bynajmniej ani do najlżejszych, ani do najmniej absorbujących. W domowym „kieracie" zawsze jest coś do zrobienia, coś do zadysponowania, względnie przypilnowania. Na ilu rzeczach musi się znać dobra pani domu? Poza zgłębieniem tajników sztuki kulinarnej, dobrego sprzątania, prania, reperacji i konserwacji dobytku domowego nie obcą dla niej powinna być psychologia, higiena, administracja, pedagogia — a poza tym do niej należy wprowadzenie estetyki do życia codziennego. Znajomość form towarzyskich powinna również cechować dobrą gospodynię a co za tym idzie, w parze i umiejętność ubrania się.

Jakże w powodzi tylu zajęć umieć znaleźć dla siebie wolną godzinę? Wydaje się to być rzeczą niemożliwą. A jednak trzeba sobie zdać jasno sprawę, że umiejętnie wykorzystany odpoczynek oraz rozrywka dadzą nam bodźca do dalszej owocniejszej pracy. Organizm ludzki nie może pracować bez wytchnienia. Jednym z zasadniczych źródeł energii życiowej są nasze nerwy; dając im należyty wypoczynek, odświeżamy tym samym nasze siły do walki z wszelkiego rodzaju przeciwnościami.

Każda kobieta nie tylko ma prawo, ale i obowiązek ułożyć życie domowe w ten sposób, aby przyzwyczaić swe najbliższe otoczenie do uznawania i szanowania jej wolnych chwil.

Ilość wolnego czasu, jaki kobieta może dla siebie poświęcić, nie może być z góry określona dla wszystkich, zależeć ona będzie od warunków rodzinnych i materialnych, a w pierwszym rzędzie od umiejętności zorganizowania swego gospodarstwa.

Kwestią naszych osobistych upodobań będzie, w jaki sposób zużyjemy ten wolny czas. Jedne wypełnią go spacerem lub wychowaniem fizycznym, inne poświęcą go na roboty ręczne, czy pracę artystyczną, niektórym konieczny jest kompletny odpoczynek fizyczny, który szczególnie dla organizmów wątłych, niezdolnych do sprawnego funkcjonowania przez dłuższy przeciąg godzin bez przerwy, jest koniecznym. Wszystko to będzie oderwaniem się od z góry zakreślonego obowiązku, zmianą wrażeń, a tym samym — wypoczynkiem.

Jedna ogólna zasada obowiązuje w należytym wykorzystaniu chwil wolnych: trzeba umieć kompletnie odizolować się od naszych codziennych trosk i obowiązków, tzn. — w godzinach wypoczynku nie myśleć o gospodarstwie i odwrotnie, aby domownicy nie zatruwali nam tych chwil swoimi sprawami. Trzeba uświadomić sobie, że nasze momenty wytchnienia nie zagrażają porządkowi domowemu — o ile został on ujęty w planowe i racjonalne ramy. Powrócimy do zajęć po upływie poświęconych samym sobie chwil z tym większym zapałem i oddaniem.

W małżeństwie ludzi współczesnych, którzy przy pracy zarobkowej, na boiskach sportowych, czy w czasie wspólnych wycieczek nauczyli się w równej mierze szanować pracę i wypoczynek cudzy i własny — łatwiej jest o zrozumienie dla wolnych chwil wypoczynku pani domu. O prawach swych nie możemy zapominać — przez niedocenienie lub zbytni zapał. (b)

O kapelusikach na popołudnie

Wiosną i latem najprzyjemniej jest chodzić bez kapelusza, ale trzeba przecież mieć w swej garderobie choć jeden słomkowy (najmodniejsze duże!) — i jeden kapelusz filcowy. Te ostatnie są niezwykle indywidualne. Po prostu każdy jest inny. Każdy też pretendować może do nazwy faworyta sezonu, przed którym skłaniać się będą w uznaniu wszystkie główki kobiece. Po takim pochlebnym geście już tylko jeden krok do chęci posiadania podobającego się modelu. Kierujemy kroki do modniarki, aby kupić jakiś model — lub stary kapelusz dać przerobić. A że modele są twarzowe i przy odpowiednim zastosowaniu do wyglądu danej główki podnoszą jej oryginalne walory urody, więc wybór jest z jednej strony łatwy, a z drugiej bardzo trudny.

Na zdjęciu — młodociany fason kapelusika popołudniowego, przybrany efektownie piórami. (d)

Smacznego

1) **Zupa Solferino.** Ugotować wywar z 30 dkg włoszczyzny i odcedzić. W wywarze tym ugotować 30 dkg ziemniaków, przetrzeć je. Zupę podprawić zasmażką rumianą z 5 dkg tłuszczu, 2 dkg mąki i 2 dkg cebuli. Dodać soli do smaku i 3 dkg powidełek pomidorowych.

2) **Opiekanki z fasoli.** Ugotowaną fasolę przetrzeć przez sito i wymieszać z 2 jajami, posiekaną cebulą, zieloną pietruszką, dodać soli, pieprzu i kwasu cytrynowego. Formować sznycelki i usmażyć na smalcu.

Nowy strój damy

(Nowoczesna bajka)

Znacie zapewne bajkę Andersena o nowym stroju cesarza? Bajka to mądra i dlatego pokusiliśmy się nieco ją unowocześnić. Ponieważ o cesarza coraz trudniej, zastąpmy go pierwszą lepszą żoną pierwszego lepszego urzędnika którejś tam grupy uposażeniowej, która cierpi na tę samą słabość, co ów cesarz z bajki Andersena. Skoro to uczyniliśmy, możemy opowiadać:

Do dziś jeszcze jakimś cudem żyje pewna niewiasta, która tak bardzo lubi stroje, że całą pensję męża wydaje na szaty dla siebie i wciąż jej jeszcze mało. Kupuje ciągle nowe i nowe, nie dbając o to, skąd jej mąż ma pieniądze

i zbytnio nawet nie interesując się tym, skąd je bierze.

A on ostatecznie jakoś skądś bierze, bo co ma biedak robić.

Modna owa dama ma na każdą porę dnia inną sukienkę, czy kostiumik, ponieważ przebiera się prawie co godzinę, więc nic dziwnego, że niewiele pociechy ma z niej mąż i gdy jaka przyjaciółka odwiedzi ją o którejś porze, dnia, może on bez cienia wahania, jeśli jest w domu, wyjaśnić, że właśnie się przebiera. Jeśli zaś jej w domu nie ma, że jest u krawcowej. Naturalnie niebardzo wesoło jest w „ognisku domowym" owej damy. Mąż chodzi stale smutny i zamyślony, częściej głodny i zły, czasami wściekły, wtedy pozwalał sobie na drobniejsze i „grubsze" awantury, toteż nic nie pomagało.

Pewnego dnia dowiedziała się kochająca się w strojach niewiasta, że pojawiła się nowa krawcowa, która szyje prześliczne i przemodne suknie. I chociaż na kuchni gotował się obiad dla uczciwie pracującego męża, rzuciła wszystko i pobiegła do krawcowej, aby być pierwszą.

I była pierwsza rzeczywiście. Krawcowa była bardzo uprzejma, opisała kilka najmodniejszych fasonów sukien, dodawszy przy tym, że fasony te wydawać się mogą niejednemu dziwne, ale że są bardzo oryginalne i że za gra-nicą najwytworniejsze damy ubierają się w podobne.

— Spodziewać się można — dorzuciła — że niektóre panie będą krytykowały, ale zrobią to z zwykłej zazdrości, że niektórym fason taki nie przypadnie do gustu, ale będą to kobiety, nie mające zielonego pojęcia o modzie. Dama w pełnym tego słowa znaczeniu elegancka będzie się na tym znała i może być tylko zachwycona.

Pani Ziuta — nazwijmy wreszcie bohaterkę naszej bajki — była także zachwycona, ponieważ chciała być damą w pełnym tego słowa znaczeniu elegancką. Wprawdzie suknia wydawała jej się trochę za długa, za gruba w pasie, za cienka w biodrach i coś tam jeszcze, ale milczała, aby krawcowa nie posądziła ją, że nie jest damą w pełnym tego słowa znaczeniu elegancką.

Zaraz po obiedzie sprzedała futro męża, wychodząc z słusznego założenia, że w futrze latem się nie chodzi, kupiła materiał na sukienkę i pobiegła do krawcowej. Naradzała się trzy godziny, czyli omawiała szczególikowo fason, po czym zmęczona poszła do domu.

Za kilka dni odbyła się pierwsza przymiarka. Pani Ziuta przymierzała sukienkę w towarzystwie czterech przyjaciółek, którym nie omieszkała przedtem wyjaśnić, że fason taki może wzbudzić zachwyt jedynie wśród dam w pełnym tego słowa znaczeniu eleganckich. Ponieważ każda z czterech przyjaciółek uważała się za taką i żadna nie chciała, aby ją ktoś uważał za inną, więc wszystkie zachwycały się, jak tylko umiały nad pięknością fasonu, nad niecodziennym gustem pani Ziuty i mistrzowskim kunsztem krawcowej.

Po cichu zaś każda myślała tak:

— Ja bym się wstydziła wyjść w czymś podobnym na ulicę. Przecież ten fason jest wstrętny, a poza tym to połączenie kolorów tak rażące... — Ale po chwili przychodziła refleksja: — A może rzeczywiście teraz to modne i wszystkie znajome będą pękały z zazdrości, widząc tę głupiutką Ziutę w takiej sukience? — I każda postanawiała szybko dać uszyć sobie podobny strój.

Głośno dorzucały:

— Wyglądasz bardzo wytwornie, jakbyś się urodziła do tej sukienki.

Tak samo mówiło jeszcze siedemnaście znajomych i tak samo myślało podczas następnych przymiarek.

Kiedy suknia była gotowa, pani Ziuta ubrała się w nią natychmiast, przemocą chwyciła męża pod rękę i wyszła na ulicę. Przemocą, bo biedak zobaczywszy żonę w nowym stroju, skrzywił się niemiłosiernie, mruknął „wyglądasz jak straszydło", na co mu żona odpowiedziała, że tylko wytworne damy zdolne są ocenić wspaniały fason i że zobaczy, jak wszystkie będą zachwycone.

Szedł tedy smutny obok żony, która dumnie wodziła dookoła oczami. Kobiety oglądały się za nią, mężczyźni też, ale ona była przekonana, że czynią to dlatego, iż są zachwyceni. Jeśli nikt nie robił złośliwych uwag za głośno, to dlatego tylko, że dużo jest jeszcze na świecie ludzi grzecznych i współczujących. Męża oblewały zimne poty i rumieńce wstydu, ale szedł, bo cóż nieborak mógł innego robić?

— Popatrz, ta sucha wydra Wydmuchalska pęknie chyba z zazdrości! — szeptała żona. — Albo mecenasowa Piecykowska: omal się nie wywróciła.

Przeszli tak kilka ulic. Nagle podeszła do nich doktorowa Zadrapalska i rzekła z złośliwym uśmieszkiem:

— Co pani z siebie za pośmiewisko robi?

Wtedy nie wytrzymał; zostawił żonę na środku ulicy i poszedł do domu.

— Jeśli już z niej się śmieją, niech przynajmniej nie śmieją się ze mnie!

Nazajutrz oddał sprawę do adwokata o rozwód. Chciał na dowód dołączyć modną suknię, ale nie mógł tego uczynić, bo właśnie żona ubrała się w nią i wyszła na ulicę. Przecież doktorowa Zadrapalska nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu elegancką.

Widocznie rzeczywiście nie była ta-

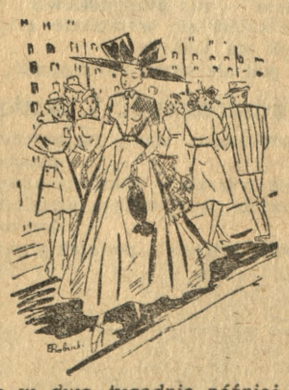

ką, bo w dwa tygodnie później wiele dam miało suknie podobne do sukni pani Ziuty. Adwokat nawet w związku z tym radził mężowi, aby wycofał sprawę o rozwód...

TADEUSZ MULTAŃSKI

CZY rower jest wskazany dla dziecka?

W niektórych krajach północnych ilość rowerów równa się prawie liczbie mieszkańców. Jazda na rowerze cieszy się tam powodzeniem jako sport zdrowy i przyjemny.

A u nas?

— Czy dla dziecka rower jest pożądany? — Oto pytanie, jakie często stawiają troskliwe matki lekarzom.

Odpowiedź wypada przeważnie dla oceny sportu rowerowego.

Lekarze odrzucają przede wszystkim zarzuty, jakie czyni się rowerowi. Że sprowadza on osłabienie mięśnia sercowego, zgarbienie pleców, zbytnie zdenerwowanie i td. Oczywiście jeżeli dziecko czyni wysiłki nadmierne i co się często zdarza, chce osiągnąć „rekord", zwyciężyć swoich współzawodników starszych i silniejszych — może to wywołać choroby serca, chyba że ta przed tym już istniała.

Trzeba więc dziecko rozsądnie powstrzymać od podobnych nadużyć, nie pozwalać na długie i forsowne wycieczki, lecz czuwać nad przejażdżkami na rowerze, które wydadzą na pewno rezultaty zadowalające. Z punktu widzenia medycznego, rower oddaje te same usługi, co gimnastyka, gdyż usprawnia i rozwija mięśnie i reguluje znakomicie ważną czynność oddychania. Rozwija przy tym klatkę piersiową, co ma doniosłe znaczenie dla dziecka. Nie należy sądzić, iż tylko mięśnie nóg przyjmują udział podczas pedałowania na rowerze. Nie jest to słuszne mniemanie, gdyż mięśnie całego ciała znajdują się wtedy w ruchu: uda, mięśnie miednicy, klatki piersiowej a nawet ramiona. Rower rozwija poczucie równowagi, ćwiczy bystrość wzroku, co jest rzeczą niemałej wagi. Dziecko zawsze powinno nauczyć się panować nad sobą, koordynować swoje ruchy i opanowywać sytuację. Rower jest dobrą szkołą w tym kierunku. Pozwala on przy tym na szybkie pokonywanie przestrzeni, co jest pragnieniem drzemiącym w duszy każdego człowieka, od lat dziecięcych daje ono mu złudzenie, że uprawia „turystykę" zastosowaną do jego wieku.

Pozwólcie więc naszym dzieciom jeździć na rowerze, a wzmocnią się ich ciała i zahartują dusze, ich przyjemność będzie przy tym dla was dostatecznym zadośćuczynieniem.

mgr B. TOKARSKA

Zestawienie obiadów

w okresie od 16—23 maja br.

16. 5. — **niedziela:** zupa Solferino (1), pieczona wątróbka, marchewka, ziemniaki, kisiel.
17. 5. — **poniedziałek:** zupa z selerów z grzankami, zrazики cielęce w sosie pomidorowym z kluskami z gotowanych ziemniaków i mąki.
18. 5. — **wtorek:** kapuśniak z ziemniakami, opiekanki z fasoli (2), kompot.
19. 5. — **środa:** barszcz zabielany, jaja w koszulkach z sosem chrzanowym, tarte ziemniaki.
20. 5. — **czwartek:** zupa rumiana jarzynowa, kaszka krakowska z sosem grzybowym, sałata.
21. 5. — **piątek:** zupa z ziemniaków, kotlety z dorsza, ziemniaki, surówka z kiszonej kapusty.
22. 5. — **sobota:** zupa szczawiowa, placki ziemniaczane.
23. 5. — **niedziela:** zupa pomidorowa z grzankami z chleba, pieczeń barania, ziemniaki, buraczki.

Z kraju i zagranicy

● W Państwowych Zakładach Umundurowania w Poznaniu (produkującym m. in. ubrania robocze dla leśnictwa, górnictwa, hutnictwa) pracuje większość kobiet. Przewodniczącą Rady Zakładowej jest kobieta p. Barbara Cepówna.

Uczył Marcin Marcina...

czyli wielka improwizacja „Przekroju"

Jak z wielką sensacją doniósł „Przekrój" w przedostatnim numerze — „Głos Wielkopolski" popełnił przezabawną gaffę, która doprowadziła niektórych panów z redakcji „Przekroju" do szału uciechy.

Otóż pewien sztubak wpadł na dowcipny, choć nie nowy pomysł, który to pomysł „Przekrój" określa chytrze jako niewinny figiel sztubacki: — mianowicie uczeń ten wysłał jeden z mniej znanych wierszy Mickiewicza do „Głosu" pod swoim nazwiskiem jako własny utwór. Wysławszy zaś ten utwór i on sam i jego przyjaciele dopuszczeni do sekretu, zatarli ręce z radości i czekali ze złośliwą uciechą na to, co będzie dalej. Podstęp był przy tym dobrze obmyślony, wiersz Mickiewicza specjalnie był dobrany, zawierał bowiem, spowodowane najprawdopodobniej stosowaniem „licentia poetica" — pewne nieścisłości geograficzno-przyrodnicze.

W redakcji „Głosu Wielkopolskiego" codzienne stosy listów — a między nimi, co jest dla każdej bodaj redakcji wielkim utrapieniem, napływające w wielkich ilościach przeważnie nieudane próbki poezji, czyta i odpowiada na korespondencję — młody, nienajgorzej zapowiadający się poeta, który lata wojny spędził nie w szkole a w partyzantce i choć posiada zupełnie dobre wyczucie wartości poezji — jego wiadomości formalno-historyczne nie stoją jeszcze zapewne na najwyższym poziomie wszechwiedzy. Dość, że w odpowiedzi swojej ocenił wiersz Mickiewicza jako niezły, ale poradził uczniakowi, jako niby autorowi owego wiersza, by podciągnął swoje wiadomości przyrodnicze i geograficzne, gdyż pereł ani korali w Bałtyku nie ma — chyba, że znajdują się one na szyjach kąpiących się pań.

I teraz natychmiast pojawia się na arenie „Przekrój", który, jak to sam pobłażliwie określa — z owego niewinnego figla sztubackiego — robi z nerwowym zapałem ogromną sprawę heroiczno-komiczną — na ostatniej swojej stronie woła przez ogromną tubę: „Odbrązowiacze" — i oto po prostu widzimy, jak podniecony czeka na burzę oklasków ze strony swoich czytelników, uszczęśliwionych i ubawionych tym mądrym pomysłem.

Kochani Koledzy z naszego nieocenionego „Przekroju" — aby w tani sposób zabawić czytelników, nie potrzebujecie wyszukiwać gaff w „Głosie Wielkopolskim" czy gdzie indziej, macie ich pod dostatkiem u siebie. A szczególnie objawiacie w żałosny i przykry dla czytelnika sposób brak znajomości — nie drobnych i mniej głośnych wierszy Mickiewicza, ale całej jego najistotniejszej twórczości.

Bo cóż to o Was pisze ostatnie „Odrodzenie" — w „Camera Obscura". Przytoczmy ku uciesze czytelników notatkę tę w całości.

Wielka improwizacja.

W 158 numerze „Przekroju" czytamy:

J-44. Symboliczna cyfra, powszechnie znana z Wielkiej Improwizacji Mickiewicza.

I „Odrodzenie" dodaje od siebie.

Siadać! Dwója! Cyfra 44 znana jest z Widzenia ks. Piotra.

Tak jest! Powtórzmy za „Odrodzeniem": Siadać i uczyć się. Nauczyć się całego Mickiewicza na pamięć.

Nasz recenzent uczy się wszystkich drobnych wierszy.

Witold Degler

Fraszki aktualne

Fabrykantom lodów

Utopie teraz nie w modzie,
Dla marzeń czasu szkoda:
Dziś już nie zamki na lodzie —
Lecz wille budują na lodach!

Satyryk

Pomyślcie — raz przypadkowo
spotkałem się w mieście z typem,
co język ma taki ostry,
że goli się swym dowcipem!

Nieostrożność i skutek

„No, wreszcie-m stanął na mocnym gruncie!"
Ktoś się wyraził w toku rozmowy.
Posłyszał to przypadkiem urzędnik skarbowy—
wpakował gościowi... podatek gruntowy!

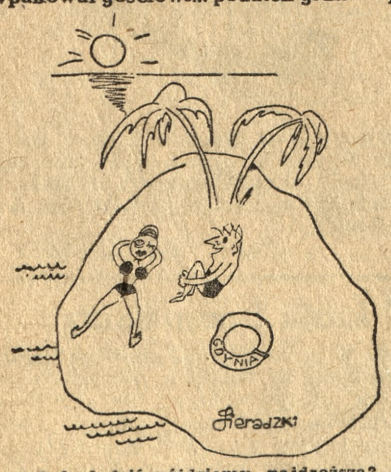

— Dokąd dziś pójdziemy, najdroższa?

Na „Fogelce"

Moja rodzina jest bardzo kulturalna. Nie uznaje tanich i pospolitych rozrywek. Przepada natomiast za koncertami symfonicznymi, odczytami i wieczorami literackimi. To też swego rodzaju przeżyciem była dla mnie chwila, kiedy akurat rok temu na Zielone Świątki wysłuchałem takiej propozycji „mojej" żony.

— „Idziemy w Święta, mój Drogi, na karuzelę".

I nic. Jakby kto bułkę z masłem zjadł. Na karuzelę? Początkowo sądziłem, że kpiny, że dowcip, że mam się śmiać. Gdzie tam! W sobotę przed Świę-

tami ani śladu z tradycyjnych przygotowań do wycieczki na tłuste łono natury. Zdobyłem się na odwagę — „Co robimy jutro?" A na to „moja": „Jakto, idziemy do Wesołego Miasteczka. Na karuzelę".

— „Z kim" — głucho zawyłem.

— „Idą z nami Maćkowie, Waciowie i Stasiowie".

Koniec klapa i ani mrumru. Zrezygnowałem z oporu. Niech tam. Idźmy. Nazajutrz ubrałem się odświętnie, powiem, wprost wytwornie. Z Maćkami, Wackami i Staśkami spotkaliśmy się w południe. Skwar, że kamienie pękały.

W tej dzielnicy miasta jeszcze dotąd nie byłem. Odrapane domy, drewniaki i rudery. Z dala dochodziły nas tony piosenki wygrywanej przez głośniki „Przybądź do mnie, dam Ci kwiat paproci". Wesołe Miasteczko! Tłumy ludzi starych i młodych. Zatrzymaliśmy się przed strzelnicą. Staś to stary żołnierz. W wojsku był radiotelegrafistą.

— „Proszę o broń! I w co można strzelać?"

— „Obywatel niech sobie wybierze, nu nie. Może rąbać we wazunik, w lichtorz, albo w tego kejtra lub w szklanną glapę nu nie".

Lecz Stasiu nie zrozumiał instrukcji zażywnej niewiasty i miast strzelać do tarczy gwizdnął pierwszym pociskiem w sam ogon porcelanowego pieska.

— „Pan pewno rapla dostał, nu nie. Co mi pan nagrody rozwoło, nu nie. Sa trzeba cylować. A za kejtra musi pan osobno zapłacić."

I Stachu jak nie bryzgnie po raz drugi w lichtarz dwuramienny, który stał sobie z dala od celu pośród innych pięknych nagród, to aż się pył uniósł nad strzelnicą. Jejmość nie wytrzymała.

— „Czy pan chce mi moją budę w pieruny rozwalić, albo co? Frugej pan stąd i płać za straty. Taki szplin!"

Jak nie spyszna poszliśmy dalej. Lecz widok kręcącej się karuzeli pozwolił zapomnieć o zdarzeniu w strzelnicy. „Nasze zaproponowały przejażdżkę. Jechać, no to jechać. „Moja" usiadła na łąbędzia, bo twierdziła, że bardzo lubi Lohengrina. Waciowa i Stasiowa parę koni, bo pochodzą ze sfer ziemiańskich; a my obywatele zajęliśmy kołyszącą się łódź z uwagi na wymierzone nam przez Urząd Skarbowy domiary do podatku od obrotu za r. 1947. Karuzela ruszyła, łódź się rozkołysała i zaczęła się tragedia. Wacio zbladł, Stasio zsiniał, a ja zzieleniałem. To paskuctwo kręci się, a w dodatku łódź kołysze. Czułem, że coś mnie w żołądek kopie. Oczywiście... hm, stało się. I to równocześnie w nas trzech uderzyło w jednej sekundzie. Nie słyszeliśmy nawet pięknej melodii „Józiu, pójdziemy na jednego". Zanim się te „kręcidechy" zatrzymały byliśmy gastrycznie, chemicznie wyprani ze wszystkiego. Pozostało tylko sumienie i nieopisany smutek. Z tym smutkiem zawlokły nas nasze panie do Pałacu Cudów.

„Sensacja! Pierwszy raz na świecie! Po raz drugi w Poznaniu. Trup ożywa i przypina sobie odciętą przedtem głowę. Tylko dla ludzi o mocnych nerwach i silnym charakterze. Każdy powinien to zobaczyć. Wstęp bezpłatny. Cena biletu 100 zł. Zaczynamy."

Tak wołał cudacznie przybrany mężczyzna o piegowatej twarzy.

Weszliśmy. Właśnie się zaczęło przedstawienie. Śliczna hoża dziewczyna lat może 49 lub nieco więcej, uosobienie niewinności — powiedziałbym anielskości— stała blada na krwistym dywanie. Potwór nie człowiek, któremu źle z oczu patrzyło, z dużą brodą i wąsiskami lat może 20 albo i mniej, podszedł z ture-

ckim szabliskiem (poznałem tureckość po błysku damasceńskiej stali) i za jednym zamachem ściął dziewczęciu szlachetną w rysunku głowę, która potoczyła się po dywanie. Nasz Staś aż przykląkł i twarz skrył w dłoniach. Wacuś łkał. Sam czułem gorące łzy na policzku. „Nasze" natomiast klaskały, biły brawo i skakały na jednej nodze z radości. Wtem... o, słuchajcie! Dziewczątko wstaje i w czarującym, niezapomnianym uśmiechu poczęło nas obdarzać błyskiem swych pereł ukrytych wśród płatków róży. „Zdrowa i cała" — wołaliśmy na całe gardło, klaszcząc z całych sił w dłonie. A „nasze" klęły na czym świat stoi, wołając „ale lipa". „To ma być pałac cudów". „Do domu" — zawołały jednogłośnie.

Ruszyliśmy więc w drogę. Do tramwaju ledwośmy się dostali. Staś przepychając się przez tłum rozbił tkwiącą w kieszeni litrową butelkę jugosłowiańskiej śliwowicy, pozostałość po Targach. Szczęściem była pusta. Jej zawartość już przedtem zginęła nieznacznie w naszych gardłach na Wesołym Miasteczku.

t. h. n.

Z teki karykaturzysty

Dyr. Okr. Kolei Państw. Inż. Mieczysław Stodolski

ANEGDOTKA

W Middlesbrough (Anglia) toczył się swego czasu niezwykły proces o dwa gołębie pocztowe. Pewien hodowca miał dwa cenne gołębie, za które amatorzy ofiarowali mu sporo pieniędzy. Pewnego dnia oba te ptaki zginęły. Zrozpaczony znalazł je po długich poszukiwaniach w gołębniku innego amatora, oba zaś miały skrzydła podcięte. Zaskarżył złodzieja, ten jednak zapewnił w sądzie, że oba te gołębie są jego od lat własnością.

Okradzionemu jednak sprzyjało szczęście. Sędzia nie był w ciemię bity, więc rozstrzygnął sprawę w ten sposób, że kazał wziąć gołębie w depozyt sądowy i karmić je dopóty, dopóki nie odrosną im skrzydła. Gdy się to stało, odbyła się nowa rozprawa. Trybunał rozdzielił się: połowa stanęła na dachu oskarżonego, połowa na dachu okradzionego. Na dany znak wypuszczono sporne gołębie, które wzbiwszy się w powietrze, wylądowały na dachu oskarżającego, rozstrzygając tym samym spór. (L)

Humor zagraniczny

Gdy łazienka się zepsuje

— Czy nie zauważyłeś, że nasi sąsiedzi z dołu zachowują się dzisiaj bardzo cicho?

(Les lettres fraincaises)

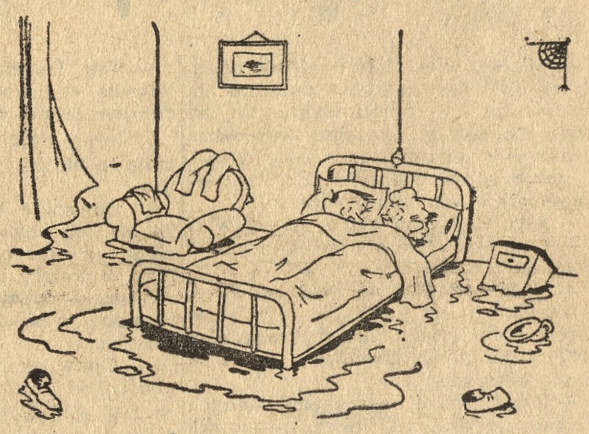

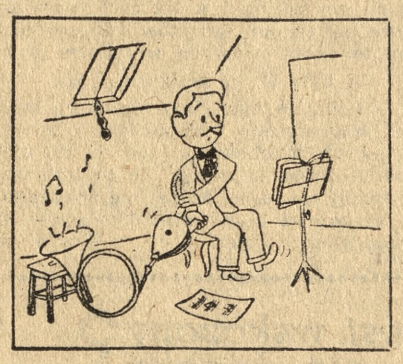

Rysunek bez podpisu

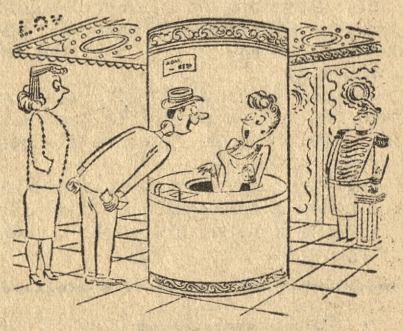

— Poproszę panią o dwa bilety...
(Collier's)

— Panie konduktorze, czy tym tramwajem dojadę na cmentarz?
— Pan się poinformuje naprzeciwko — tam wypożyczają karawan.

Witold Degler

Fraszki o malarzach

Do malarzy

Warto powtarzać, choćby tysiąc razy,
Bo dobrej nigdy nie jest dość nauki:
„Malarze współcześni! Malujcie obrazy
— lecz bez... obrazy sztuki!"

Na wystawie obrazów

„Co za wspaniałe płótna tutaj wiszą!"—
na wystawie arcydzieł objaśniał mąż żonę
Odrzekła mu: „Cudowne! Chętnie bym kupiła —
Niestety — wielka szkoda, że już poplamione!"

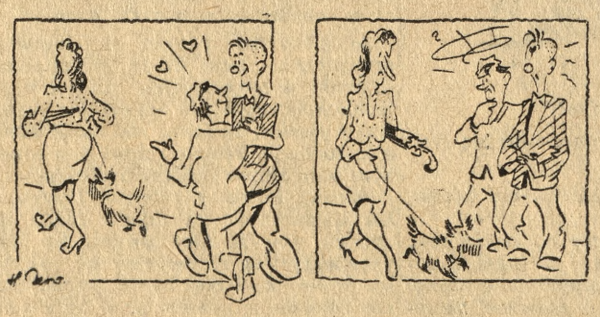

Przygoda bez słów

W sprawie lodów

Obecnej wiosny wielkie upały
Inwazję lodów spowodowały.
Cukiernie, bary, uliczne kioski —
Pełne „Pingwinów", „Sopli" i „włoskich".

Gdzie tylko spojrzysz, tam dla ochłody
Sprzedają lody, lody i lody...
Bieżący okres z tych więc powodów
Można by śmiało zwać „Wiosną Lodów".

Niektórzy nawet, i nie bez racji,
Chcą hasła: „Przez lód do demokracji!"

Inni czekają, kiedy narody
W ONZ pierwsze przełamią lody...
Ja zaś na koniec zachodzę w głowę:
Mamy-ż w Europie rządy lodowe?

MIK

W deszczowej burzy, parasol też służy

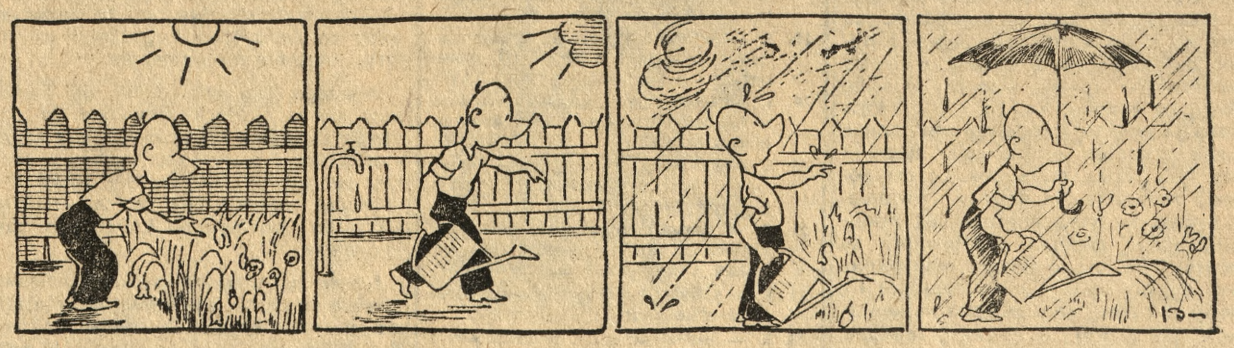

Na ogródku w czas pogody
Biedne kwiatki schną bez wody

Więc też Śliwka, czuły na to,
Ulgę pragnie przynieść kwiatom.

Wtem odgłosy słychać burzy,
Lecz ogrodnik nasz nie tchórzy.

Wziął parasol, myśląc o tym
Że trza skończyć swą robotę...